M.B. im. L. W. w Łodzi

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 13 kwietnia 1958 r. Cena 1 zł nr 7

W numerze:

ASPAZJA • PREZYDENT NA „PÓŁETACIE" • STRACH PRZED RENCISTAMI • IGRASZKI TEMIDY • WSZYSTKO SIĘ RADUJE • REPORTAŻ O BARWACH ZIEMI • KRAINA NONSENSU • WYROK NA HR. CIANO • KOMODA PANA GEYERA • CHARAKTERY ROZUMÓW LUDZKICH

WILLIAM SAROYAN

Pouczające bajeczki mojej ojczyzny

(Z cyklu: „Na imię mu 'Aram")

★

Moja babka szczególnie lubowała się w opowiadaniu mi bajek i powiastek o tym, że należy wierzyć w istnienie Dobra i Sprawiedliwości, że rozpacz nie przystoi człowiekowi wierzącemu, a słuszność swych twierdzeń popierała przytaczaniem takiej oto powiastki, o pewnym cieśli, który jakoby żył wiele, wiele setek lat przed nami, a którego kiedyś zatrzymał na drodze jeden z jego przyjaciół i zapytał:

— Przyjacielu, czemu masz taką smutną twarz?

— Nie byłbyś weselszy — odparł cieśla — gdybyś się znalazł w takim położeniu, jak ja.

— Cóż się stało? — zapytał przyjaciel.

— Muszę do jutrzejszego ranka dostarczyć naszemu królowi jedenaście tysięcy, jedenaście set i jedenaście funtów opiłków dębowych — w przeciwnym razie pożegnam się z życiem.

Przyjaciel uśmiechnął się, objął ramieniem cieślę i rzekł:

— Nie frasuj się. Chodź, podjemy sobie, popijemy i zapomnimy o jutrzejszym dniu. Jest tam w górze ktoś, kto będzie miał nas w swojej pieczy, jeżeli i my go jak należy uczcimy.

Zbliżyli się do domu cieśli, gdzie na progu stała jego zapłakana żona i dziatki. Ale łzy wnet obeschły, kiedy cieśla wraz z przyjacielem zaczęli jeść, pić, żarty stroić, śpiewać i pląsać, chcąc w ten sposób złożyć świadectwo, iż wierzą w Dobro i w Sprawiedliwość rządzące światem.

Kiedy się tak weselili, żona rozpłakała się i rzekła:

— Mężu mój, jutro będziesz musiał pożegnać się z życiem, a ty dziś, jak szalony, cieszysz się życiem. — Do czegóż to podobne?

— Zapomniałaś żono o Opatrzności, co ma nas w swojej pieczy! — odrzekł cieśla i dalej wychylał dzbany na cześć Onej: dobrej i sprawiedliwej.

Całą nockę weselili się bez miary, a kiedy świt przebił swym łukiem ciemności, cieśla i jego przyjaciel zamilkli, zdjęci strachem wielkim i smutkiem.

Naraz do drzwi zakołatali gońcy królewscy. Rzekł tedy cieśla głosem zdławionym:

— Pójdę teraz umierać! — i otworzył im drzwi.

—Cieślo! — rzekli gońcy królewscy. — Król umarł!... Sporządź dlań trumnę!

★

By dać należną nauczkę wszelakim pyszałkom i pokazać im, jaka jest ich prawdziwa wartość, stryjek Aram opowiadał o pewnym lwie, którego na polowaniu zranił myśliwy.

W oczekiwaniu niechybnej śmierci, lew ryczał bez przerwy z bólu, aż tu nagle przyczołgał się do niego żółw.

— Co cię boli? — zapytał.

— Postrzelił mnie myśliwy! — odparł lew.

Żółw srodze się rozsierdził i rzekł:

— A bodaj ludzi, co się ważą rękę podnieść na takie dostojne stworzenie, jak ty i ja, spotkało co najgorsze!

— Bracie — odparł na to lew — daruj, ale rana, jaką mi zadał ów myśliwy, sprawia mi znacznie mniej bólu, aniżeli twoje słowa.

Co powiedziawszy, zaraz wyzionął ducha.

Na podobny temat stryj Aram zwykł przytaczać powiastkę o pchle, co skoczyła do ucha słoniowi, gdy ten kroczył przez most przerzucony przez rzekę.

— Czy nie zauważyłeś, drogi przyjacielu — rzekła pchła — że kiedy taki jak my potężne stworzenia idą przez most, on się cały aż ugina?

★

Mąż z żoną jechali na ośle górską ścieżką wiodącą do Bitlis, kiedy naraz ujrzeli ślepca, który z trudem wymacywał kijem drogę przed sobą.

Mąż rzekł do żony:

— Dał ci Pan Bóg dwoje oczu. Złaź z osła, pójdziesz pieszo, niechaj ślepy siądzie na osła.

A żona na to:

— Ślepi za często korzystają z naszej dobroci. Miń my go chyłkiem.

Wiosna zrywa okowy...

Fot. M. Kijowski

Ale mężowi żal było ślepca i chciał, by ten wsiadł na osła.

— Patrz — powiedział — ma poranione nogi. Złaź, niech on się przejedzie.

Żona zlazła z osła, a ślepiec usiadł za plecami męża. Żona szła pieszo, a mężczyźni jechali, aż zbliżyli się do swego celu. Wtedy mąż rzekł do ślepca:

— Oto przybyliśmy do Bitlis. Złaź, pomożemy ci...

— A to niby jakim prawem? — zapytał ślepy. — Pozwoliłem ci przeprowadzić mego osła przez góry, a ty chcesz mi go teraz ukraść?

Żona zrozumiała, jakie przykrości grożą im i zaczęła lamentować:

— Widzieliście ludzie, jakiego mam głupiego męża?

— Proszę ciebie, złaź — perswadował mąż ślepcowi — bądźże człowiekiem! Ulitowałem się nad tobą i podwiozłem na swoim ośle aż do miasta. Idź teraz swoją drogą...

Ślepiec począł wrzeszczeć. Zebrał się tłum. Ślepiec zaczął odwoływać się do ludzi i wzywać pomocy. Mąż spostrzegł, że ludzie są po stronie ślepca i powiedział do żony:

— Prawdę rzekłaś, popełniłem błąd. Niech on sobie weźmie naszego osła. Chodźmy.

— Dobrze mówisz! — odparła żona. — Chodźmy.

Ale ślepiec znów zaczął krzyczeć:

— Co? Wpierw chciałeś ukraść mego osła, a teraz chcesz mi zabrać żonę?... A ona, niecnota, woli iść za takim, co ma zdrowe oczy, niż ze mną — ślepcem!

Żona zaczęła zawodzić na czym świat stoi, a mężowi całkiem mowę odjęło.

Ludziska uwierzyli ślepcowi — był ślepy. Litowali się nad nim, bo był niewidomy.

Żona gorzko szlochała, a mąż powiedział, że nie opuści swojej żony. Udali się więc wszyscy do sędziego. Ślepiec opowiedział, jak razem z żoną jechał na swym ośle do Bitlis, aż w pewym miejscu osioł uparł się i nie chciał ruszyć z miejsca. Wtedy zjawił się ten nieznajomy, zaczął popędzać osła, przyprowadził go do miasta, a następnie wpierw usiłował ukraść osła, a później i jego żonę. Mąż również opowiedział, jak się rzecz miała, czyniąc sobie przy tym gorzkie wyrzuty za nieopatrzną dobroć, okazaną ślepcowi.

Sędzia wysłuchawszy ich, nie mógł orzec, które z nich mówi prawdę i kazał wszystkich troje zamknąć do więzienia.

— Zamknijcie ich w oddzielnych celach. Baczcie, co każde z nich będzie czyniło, a nazajutrz powiadomicie mnie o tym.

Tak też zrobiono.

Kiedy ślepiec został sam i myślał, że nikt go nie widzi, wielka zdjęła go radość. Ziewnął, przeciągnął się, po czym zaczął przytupywać, wykrzykując:

— Mam osła, mam żonę! Uśmiechnął mi się los!

Mąż przeklinał siebie za brak rozumu i przebiegłości, za to, że chciał przyjść z pomocą oszustowi.

Żona zaś przeszlochała całą noc.

Następnego ranka opowiedziano sędziemu, jak się zachowywali wszyscy troje. Sędzia zamknął ślepca w więzieniu, a mąż wraz z żoną udali się w dalszą drogę na swym ośle.

Tłum. Jan Zakrzewski

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Polityczna młocka

Prezydent na półetacie

Eisenhower — „stary, zmęczony człowiek".

Komu coraz częściej nadaje się złośliwy przydomek prezydenta „na półetacie"? Generałowi Dwight Eisenhowerowi, który od 1952 roku pełni funkcję prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jest niezaprzeczalnym faktem, że od pierwszego ataku serca w 1955 roku Eisenhower pracuje „na zwolnionych obrotach". Stan jego zdrowia, będący stałą troską sztabu najświetniejszych lekarzy z generał-majorem Howardem Snyderem, nie jest zadowalający. W r. 1956, gdy wygasła pierwsza kadencja, Eisenhower poważnie myślał o wycofaniu się z życia politycznego. Jedynie ciężka sytuacja partii republikańskiej skłoniła prezydenta do niewycofywania swej kandydatury.

W końcu ubiegłego roku, tuż przed paryską sesją NATO, Eisenhower przeżył drugi atak serca — co prawda niegroźny. Pod znakiem zapytania stanął wówczas udział prezydenta w sesji. Mówiło się już, że do Paryża pojedzie wiceprezydent Richard Nixon, którego osoba zaczyna odgrywać coraz poważniejszą rolę w polityce amerykańskiej, i o którym mówi się, że do niego należy przyszłość.

Trzeba tu zaznaczyć, że zgodnie z konstytucją amerykańską normalne funkcje wiceprezydenta kraju są minimalne i ograniczają się w zasadzie do czysto formalnego przewodniczenia obradom senatu. Dopóki prezydent może spełniać swoje obowiązki jest wyłącznym kierownikiem administracji i z nikim się sprawowaniem swego urzędu nie dzieli.

Tak, ale Eisenhower już dwukrotnie był chory i Nixon coraz częściej musi go zastępować. I oto podnoszą się głosy: po co nam prezydent „na półetacie"? Niech ustąpi miejsca Nixonowi. Brakowi energicznego szefa rządu (prezydent w USA jest jednocześnie czymś w rodzaju premiera) przypisuje się wszelkie niepowodzenia polityki amerykańskiej, a zwłaszcza narastającą stale recesję gospodarczą.

Eisenhower, popularny „Ike", jest nadal osobiście lubiany i szanowany, ale niezależnie od tego opinia społeczna wysuwa przeciw niemu coraz liczniejsze zarzuty. Niektóre mają nawet zdecydowanie niesmaczny charakter. Ano, że prezydent zbyt często urządza sobie przydługie weekendy (ostatnio spędził kilka dni na grze w golfa i na polowaniu na przepiórki w farmie b. ministra finansów Humphreya w stanie Georgia). Że niewłaściwie obchodzi się z bronią (prasa opublikowała zdjęcie prezydenta ze strzelbą myśliwską z lufą skierowaną ku własnej głowie), że odwiózł żonę do stanu Arizona do znanej kosmetyczki Elisabeth Arden służbowym samolotem, że oddał całą władzę w ręce doradców, a zwłaszcza Shermana Adamsa i Jamesa Hagerty.

Instytut Gallupa przeprowadził ostatnio badania opinii publicznej na temat pochwalania lub nie — sposobu w jaki Eisenhower spełnia swoje obowiązki.

Wyniki ankiety wykazały nikłą przewagę zwolenników „Ikea":

pochwala — 52 proc.
nie pochwala — 33%
bez opinii — 15%

Jeśli — jak określa się Eisenhowera — „zmęczony, chory człowiek zniechęcony do swego stanowiska", ustąpi, wówczas miejsce jego zajmie automatycznie Nixon. Jest to jak na męża stanu człowiek bardzo młody, ale akcentujący już wyraźnie własne poglądy, odbiegające w niektórych sprawach od poglądów Eisenhowera.

Richard Nixon — ten, do którego „należy przyszłość".

Nixon, akceptując ogólną „linię atlantycką", uważa m. in., że dla polityki amerykańskiej istotniejsze od spraw europejskich są problemy Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Jest przeciwnikiem szerokiej pomocy amerykańskiej dla tych części świata i ulg podatkowych dla finansistów amerykańskich inwestujących w krajach zamorskich. Ten ostatni pogląd nie znajduje uznania w Departamencie Skarbu i w Biurze Budżetu.

W związku z recesją gospodarczą w USA Nixon jest za podjęciem radykalnych środków, a mianowicie za obniżeniem podatków o 5 miliardów dolarów celem ożywienia koniunktury. Eisenhower, słuchający rad Humphreya, jest przeciwny takiemu rozwiązaniu i skłania się do metody wolniejszej, polegającej na uruchomieniu poważnych robót publicznych.

Świat zachodni, który prezydenta Stanów Zjednoczonych uważa za „swojego" prezydenta, z dużym niepokojem obserwuje sytuację w Białym Domu i czeka na ewentualne zmiany.

Maria Białobrzeska jako wdowa w „Ich czworo" Zapolskiej na scenie Teatru Nowego

Fot. J. Neugebauer

Z wokandy sądowej

Do ilu razy sztuka?

Leżą przede mną akta sprawy przeciwko Andrzejowi Z. Młody, przystojny, 24 letni chłopak, nigdzie nie pracuje, żyje podobno z przyzwyczajenia. Andrzej Z. pracował kiedyś aż „cały tydzień", ale że po raz trzeci wszedł w konflikt z prawem więc przestał. Pierwsze wykroczenie to pobicie — sprzyjająca okoliczność — amnestia uwalnia go od kary. Drugie wykroczenie — kradzież to już rzecz poważniejsza, ale współtowarzysze są nieuchwytni więc śledztwo trwa i trwa. To były tylko próby. A teraz? Andrzej Z. zgwałcił 16-letnią dziewczynę Elżbietę A.

* * *

Dzień 8 listopada 1957 r. Jesienna szaruga. Nuda wisi nad miastem. Co może robić w taki normalny dzień człowiek, który ma za dużo czasu?

Z. nie lubi samotności, musi być między ludźmi. W kawiarni koleżanki, koledzy, a nuż się przytrafi niespodziewana przygoda. Koledzy również się nudzą; stąd też krótka decyzja. Spotkają się nieco później w wygodnym, prywatnym mieszkaniu na ul. Piotrkowskiej. Czterech chłopców, dwie dziewczyny, butelka podłego wina i zaczyna się „ubaw". Są wszystkie potrzebne rekwizyty: „chata", „adapter", „szkło". Rozmowa idzie ospale, zbyt duże grono, brak koniecznej atmosfery intymności. Towarzystwo rozchodzi się do poszczególnych pokoi. Andrzej Z. zostaje tylko w pewnym momencie z Elżbietą A. Wykorzystuje sytuację i w niedwuznacznym celu rzuca dziewczynę na łóżko i mimo oporu osiąga swój cel. Jego miejsce pragną zająć pozostali. Elżbieta wybija szybę i zaczyna głośno wzywać pomocy. Zdezorientowani uczestnicy zabawy znajdują tylko jedno wyjście — ucieczkę. Milicjanci, którzy przybyli zwabieni krzykiem zastali jedynie roztrzęsioną Elżbietę. Ręce dziewczyny krwawią. Notatka służbowa, zabezpieczenie dowodów, spisanie zeznań, wraz z wnioskiem pokrzywdzonej o ukaranie Andrzeja. Sprawę przejęła prokuratura.

* * *

Mylą się jednak wszyscy, którzy myślą, że sprawa teraz zakończy się normalnie, a więc sąd i wyrok skazujący pana Z. na x lat więzienia.

To byłoby jednak zbyt proste. Andrzeja tym razem nie opuściło szczęście. Prokurator prowadzący śledztwo zebrał cały materiał dowodowy, lecz wówczas wpłynęło małe pisemko wystosowane przez rodziców pokrzywdzonej: „My, niżej podpisani rodzice Elżbiety A. poszkodowanej przez Andrzeja Z., który dokonał na niej gwałtu oświadczamy, że nie żądamy jego ukarania" Podpis: Maria P., Stefan P.

Ten mały papierek przesądził wszystko, spowodował że Andrzej Z. zamiast przebywać w więzieniu wysiaduje z powrotem w kawiarni i jak dawniej spaceruje po Piotrkowskiej, a nie po bardziej ograniczonym i mniej ruchliwym placyku.

Tym razem młody wiek Elżbiety, której wniosek o ściganie z punktu widzenia prawa jest bezskuteczny, uratował Andrzeja Z. Konia z rzędem temu, kto potrafi wytłumaczyć czym kierowali się rodzice dziewczyny wystawiając to oświadczenie. Musieli przecież zdawać sobie sprawę z tego, że odbierają prokuratorowi możność wniesienia aktu oskarżenia do sądu. Tym samym zapewniają bezkarność przestępcy. Takie stanowisko rodziców musi budzić poważne refleksje, pytanie: co się za tym wszystkim kryje?

Nie możemy pozwolić aby Andrzej Z. w wyniku pewnych osobistych doświadczeń doszedł do przekonania o swej „bezkarności".

Tylko od rodziców pokrzywdzonej Elżbiety A. zależy czy sprawdzi się przysłowie że: „Do trzech razy sztuka". Może zmienią stanowisko. Na marginesie całej sprawy chciałbym zwrócić uwagę na to, że często wyrzekamy na niedoskonałość naszego prawodawstwa, na opieszałość sądów itp. Za wszystkie te usterki zgodnym chórem zrzucamy odpowiedzialność na organa wymiaru sprawiedliwości.

Tymczasem sprawa Andrzeja Z. wskazuje na coś wręcz odmiennego. Wina leży tu jak na dłoni — po stronie społeczeństwa, które, jak w tym konkretnym przypadku, utrudnia sądowi wymiar sprawiedliwości. Często domagamy się tworzenia nowych przepisów, które powinny regulować lepiej zaistniałe wykroczenia, ale nie zastanawiamy się nad tym iż sami w dużym stopniu swą postawą pozwalamy na ich rozwój. Wytwórzmy atmosferę poszanowania prawa, a okaże się że przepisy być może niedoskonałe spełnią lepiej swoją rolę.

WŁODZ. KOCHANIECKI

FELIKS BĄBOL

Strach przed rencistami

Nie trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć, iż po ostatniej podwyżce rent zacznie się historyczny proces odchodzenia z fabryk i przedsiębiorstw na zasłużony odpoczynek setek tysięcy ludzi steranych wiekiem i pracą.

W teren poszły rozporządzenia wykonawcze, w fabrykach o niczym się już dziś nie mówi, jak o odejściu rencistów z dniem 1 lipca br. i o kłopotach, jakie to zjawisko sprawi wszystkim ludziom kierującym zakładami produkcyjnymi.

Tymczasem okazało się, że wśród setek rencistów w każdej fabryce jest cała masa dobrych fachowców, tkaczy i prządek, na których miejsce — niestety — nie ma zastępców. Bo jeśli parafrazując znaną książkę Hemingway'a — „stary człowiek i... może", to powstanie problem, czy ten stary człowiek, któremu państwo umożliwia od 1 lipca wygrzewanie starych kości na słońcu, w ogóle — zechce.

Z fabryk dziewiarskich odejdzie około 500 emerytów na odpoczynek, z jedwabiu — około 530, nie mniej — z przemysłu bawełnianego i wełnianego. W sekcjach zatrudnienia obserwuje się wielce osobliwe zjawisko, któremu na imię „strach przed rencistami". Renciści stali się ludźmi na wagę złota.

Już widzę nawet delegacje prezydium rady robotniczej, dyrekcji, organizacji partyjnej, ZMS i Ligi Kobiet spieszące do 60—70-latków, już słyszę przemówienia apelujące do ofiarności i wyrzeczeń w imię budownictwa.

— A może jeszcze, kochani, nie odejdziecie? Bo uchowaj Boże, z planem będzie marnie!

Mogą wyniknąć takie groteskowe sytuacje. No, tak — policzmy przecież te ciężkie miliony złotych, które państwo ludowe w ciągu 12 lat wydało na szkolenie nowych kadr we wszystkich przemysłach. Zastanówcie się, że w przemyśle włókienniczym i w ogóle lekkim wyszkolono setki tysięcy ludzi, że samych tkaczy i prządek ze świadectwami samodzielnych pracowników jest chyba kilkadziesiąt tysięcy. Skąd więc ten cały strach przed odejściem rencistów?

Żarty — żartami, ale tych wyszkolonych fachowców, których szkolenie zjadło wiele pieniędzy, w przemyśle włókienniczym — wciąż mało. I to jest jedna z poważnych klęsk przemysłu włókienniczego. Nie zagrały jak się to mówi — bodźce ekonomiczne i fachowcy z przemysłu włókienniczego rozpłynęli się jak mgła po kraju. Pewien wiceminister powiedział co prawda parę dni temu, że nie ma się co bać odejścia rencistów, bo ci fachowcy, których państwo wyszkoliło, przecież potencjalnie istnieją, że z czasem może wrócą do gniazda, że nie będzie wobec tego dramatu.

Co do mnie — nie wierzę w optymizm tego wiceministra. Bo co to znaczy — fachowcy istnieją potencjalnie? Potencjalnie istnieją np. sami wrogowie alkoholizmu, a w praktyce — arkusze GUS nie mieszczą już milionowych cyfr wypitej w Polsce wódki. Przykłady można mnożyć.

A wyjścia innego nie ma, jak wziąć się do roboty i w ciągu trzech miesięcy doszkolić tych niezbędnych fachowców, którzy zajmą miejsca przy maszynach opuszczonych przez 60—70-latków. By się plany nie zawaliły i by renciści mogli wreszcie odpocząć.

Osobiście nie wierzę w skuteczność perswazji pod adresem rencistów, którzy wreszcie chcą odpocząć, nie wierzę w skuteczność apelu tzw. aktywu fabrycznego, nawet gdyby brzmiał on następująco:

— Nie odchodźcie, dziadku, bo rynek czeka na masę towarową.

odgłosy str. 2

ADAPTACJA POWIEŚCI ANDRZEJA OSTOJI

aspazja

ILUSTR. JBIŚ-GRATKOWSKI

— 7 —

Spoglądaliśmy na siebie niepewnym wzrokiem. Gdzie tu jest jakiś sens? — pytał każdy samego siebie. — Co to wszystko znaczy?

— No, dobrze — rzucił profesor Towsend swoim amerykańskim akcentem — wyobraźmy sobie, że na Marsie istotnie jest jakaś straszliwa kobieta. Wyobraźmy sobie, że wiemy skąd się tam wzięła... to skąd w niej i dlaczego ta niebywała nienawiść? Czemu niszczy ludzi i ich aparaty. No i skąd te wielkie środki zniszczenia? Przecież nasi ludzie są mądrzy, ostrożni, dobrze uzbrojeni, sami zdolni do walki. Więc dlaczego tak łatwo poddają się? Następnie, gdzie podziewa się ta kobieta wraz ze swoimi jakimiś pomocnikami? Przecież na Marsie nie odkryto żadnych śladów wyższego życia.

— To mało — odezwał się Cronenstraem. — Powiada „zniszczyć" ale jak zniszczyć, kogo zniszczyć, czym zniszczyć? Czy to znaczy, powiedzmy, że użyć naszych środków bojowych?...

— Mimo wszystko — powiedział dr Freyd — mnie osobiście najbardziej interesuje zagadnienie tej kobiety. I wcale nie jestem taki pewny jak profesor Carrocci, że to nie mistyfikacja. O ile mi wiadomo, w poprzednich ekspedycjach, to znaczy przed Glorią VI, żadne kobiety nie brały udziału. W ogóle z zasady i wyłącznie latali tam mężczyźni, z wyjątkiem profesor Latony z drugiej wyprawy. Być może więc to ona... w jakiś sposób... mówił tonem powątpiewania. — Z drugiej strony — ciągnął dalej — nie można przecież sobie wyobrazić, aby ewolucja materii żywej na tej planecie poszła taką samą drogą, jak na naszej Ziemi. Jeśli były tam kobiety i mężczyźni, to nie mogli być podobni do naszych kobiet i mężczyzn. Być może są tam więc jacyś Marsjanie ale nie może tam być żadnych kobiet w naszym po-

— 8 —

jęciu. Vituulen prawdopodobnie miał na widoku jakąś kobietę marsyjską... Marsjankę.

— Jest hipoteza — rzekł admirał — że stało się to wszystko w okresie poprzedzającym pierwszą ekspedycję, gdzie więc 350—400 lat temu, gdy ludziom udało się wyzwolić z materii około 30 proc. energii odpowiadającej masie spoczynkowej. Przy posiadaniu tak dużego zasobu energii, sprawa lotów kosmicznych została w zasadzie rozwiązana i weszła w stadium prób. Mnóstwo ludzi wzięło udział w tych próbach, a i zginęło przy tej sposobności również wielu śmiałków. Przy ówczesnym stanie techniki nikt nie ośmielał się zapuszczać dalej niż na Księżyc, ale Mars oczywiście wszystkich niezmiernie intrygował. Przypuszcza się więc, że była to niewielka rakieta. W której znaleźli się jacyś straceńcy. Bardzo możliwe, że byli to hipochondrycy i desperaci rozczarowani do życia i świata. Była wśród nich i jakaś groźna, zapewne bardzo mądra, kobieta. Może kilka kobiet. Towarzystwo to postanowiło rozstać się na zawsze z Ziemią i na Marsie założyć nowe życie, stworzyć nową cywilizację według swoich antyhumanitarnych poglądów. Nie pragnęli już żadnego kontaktu ze swoją niedawną ojczyzną, chcieli zerwać z nią i zapomnieć o niej. Stąd przybywające z Ziemi rakiety były przez nich traktowane bardzo nieżyczliwie.

— Tak.... tak! — krzyknął Carrocci z irytacją w głosie. — Ciągle to samo. Potworni Marsjanie, którzy łykają nasze rakiety jak pigułki od kaszlu. Osiemnaście doszczętnie zniszczonych ekspedycji. Straszliwe kobietki ziemskie — czarownice i sadystki, które budują nową cywilizację hitlerowską. Duchy, demony, szatany i jeszcze jedna próba zbadania tej makabry. Wyślemy parlamentariuszy i nawiążemy z nimi pokojowe rokowania, a gdy noc przyjdzie zamienią nas w obłok pa-

— 9 —

ry, choćby przy pomocy ładunków z energii promieniowania kosmicznego.

— Z Ziemi uciekła ta kobieta, Mars ją wydał, przyleciała z Aldebarana — obojętne. Wiem jedno... nie ma co poszukiwać jeszcze jednego kontaktu, tylko wypuścić nasze gazy B7, zalać to wszystko zielonymi promieniami, na dodatek jedna subbomba... i dopiero próby porozumienia!...

— To są argumenty ostateczne — zaoponował admirał kończąc naszą pierwszą dyskusję o tajemnicy Marsa.

* * *

W rezultacie naszych długotrwałych narad opracowaliśmy z grubsza plan naszej kampanii marsyjskiej.

Zgodnie z zastrzeżeniem starego Paavo Vituulena nie będziemy lądować na Marsie. Nawiążemy z nim łączność przy pomocy naszych odrzutowych samolotów typu „Aga". Na zwiady wyślemy szereg zradiofonizowanych automatów. Być może zawiśniemy w przestrzeni nad Marsem uruchamiając balansjery energii. Ich działanie umożliwia takie wyregulowanie siły odrzutowej naszych silników w stosunku do siły przyciągania planety, że można zawisnąć nad nią nieruchomo.

* * *

...15 czerwca siedziałem w bibliotece i czytałem książkę Cronenstaema „O mnogości światów zamieszkałych". Wtem rozległ się przenikliwy sygnał syreny alarmowej.

Admirał stanął przed mikrofonem.

— Uwaga — ryknął — Radarowe urządzenia sterujące dały znać, że przed nami duży planetoid, który pod wpływem zakłóceń grawitacyjnych Jowisza zaplątał się w te strony i wpakował się na nasz tor. Zbliżamy się do siebie z wielką szybkością.

(D. c. n.)

TYDZIEŃ W FILMIE

WIDMO

Gdyby mnie zapytano — kto z pracowników naszej kinematografii bije rekord nieudolności, tępoty i złej woli — odpowiedziałbym krótko: urzędnicy Centrali Wynajmu Filmów. Ludzie, odpowiedzialni za rozprowadzanie krótkometrażówek — dokumentarnych, animowanych, oświatowych.

Wybaczcie, Czytelnicy, stary i ograny temat. Ale doprawdy zła krew zalewa, gdy myślę, że felietony o złej dystrybucji małych form filmowych zajęłyby gruby tom, a panowie z CWF ze stoickim spokojem robią swoje... to znaczy — nic nie robią. A jeśli już robią — to likwidacje.

Już ładne kilkanaście miesięcy minęło, jak zlikwidowano w Łodzi programy aktualności w kinie „Gdynia". Co dano w zamian? Posłuchajcie...

Kino „1 Maja", kupuję bilety na ostatni seans. Kasjerka kategorycznie domaga się dopłaty półtora złocisza, bo po filmie fabularnym wyświetlają program aktualności. Jaki program — nie jest w stanie powiedzieć. Nic nie wie również bileter przy wejściu. Wreszcie zjawia się ktoś, kto informuje, że pokażą film dokumentarny (sic!) — „Wychowanie dzieci"... Podobnie w kinie „Wisła" kasjerka zrezygnowała z wmuszenia „sprzedaży wiązanej" dopiero po energicznym proteście — i także nie wiedziała, jaki będzie zestaw krótkometrażówek. Za złoty pięćdziesiąt kupujecie kota w worku!

Władcy CWF-owskiej dystrybucji powiadają: zlikwidowaliśmy aktualności w „Gdyni", bo były deficytowe. Przez długi czas zarzynaliśmy się finansowo. Sala w „Gdyni" nie była wykorzystana nawet w 50 procentach. Widz łódzki nie lubi programów składanych.

Argumenty poważne, bo na pewno kryje się poza nimi jakaś tabela statystyczna. Rzecz w tym, że nasi szlachetni dystrybutorzy nie mają prawa wysuwać tych argumentów! Bo to właśnie oni położyli frekwencję w „Aktualnościach", oni odstraszyli publiczność od kina „Gdynia"!

Pamiętam dobrze wyświetlanie w „Gdyni" filmu instruktażowego o szybkościowym skrawaniu metali. Widziałem kilkakrotnie zestawy samych filmów krajoznawczych, lub samych filmów oświatowych.

Wnikliwi kalkulatorzy z CWF-u nieźle może opanowali statystykę frekwencji, ale jednocześnie przestali sobie zawracać głowę tak mało ważną czynnością, jaką jest — ułożenie repertuaru. I to nie tylko w okresie istnienia „Aktualności" w kinie „Gdynia", lecz także dziś, w roku 1958.

Kino „Dworcowe" wyświetla nadal programy składane. Oto przykładowe zestawy: film dla dzieci — „Samolubna małpka" oraz „Bumelant" — żart filmowy, adresowany na pewno nie do przedszkolaków. Film dla dzieci — „Złośliwy jeż" — idzie w zestawie z oświatówką „Bałaton jest nasz". Do filmu chaplinowskiego w „Bałtyku" dołączona jest żenująca, infantylna, przeraźliwie nieudolna kreskówka dla pierwszoklasistów.

A jednocześnie pleśnieją w bunkrach nasze najlepsze filmy dokumentarne, oświatowe, pleśnieją krótkometrażówki eksperymentalne o malarstwie, o jazzie... Nie wiadomo, gdzie się podziały interesujące polskie i czeskie filmy rysunkowe dla dorosłych...

Niech mi będzie wolno pomarzyć... Znów kiedyś odwiedzimy kino „Aktualności", które wyświetla filmy systemem „non-stop" (można wejść na salę i wyjść w dowolnym punkcie programu). Zobaczymy zestaw filmów rozsądnie podany, urozmaicony, w którym obok kroniki wyświetlony będzie ciekawy film dokumentarny, ciekawa „oświatówka", jakiś koncert na ekranie (przykład: „Rozmowy jazzowe"), kreskówka — nie dla przedszkolaków... I marzy się zobaczenie w takim zestawie etiudy fabularnej — jakich kilkadziesiąt, na pewno wartych pokazania szerszej publiczności — posiada na składzie Wyższa Szkoła Filmowa.

Ech, marzenia... Nieudolni dystrybutorzy potrafią z pewnością całkiem udolnie bronić swoich racji finansową statystyką. A doskonałe polskie i zagraniczne krótkometrażówki, owe filmy — widma, których nikt niemal w kinie nie oglądał — nadal będą pleśnieć w betonowych bunkrach...

JANUSZ WEYCHERT

ROZRYWKI UMYSŁOWE

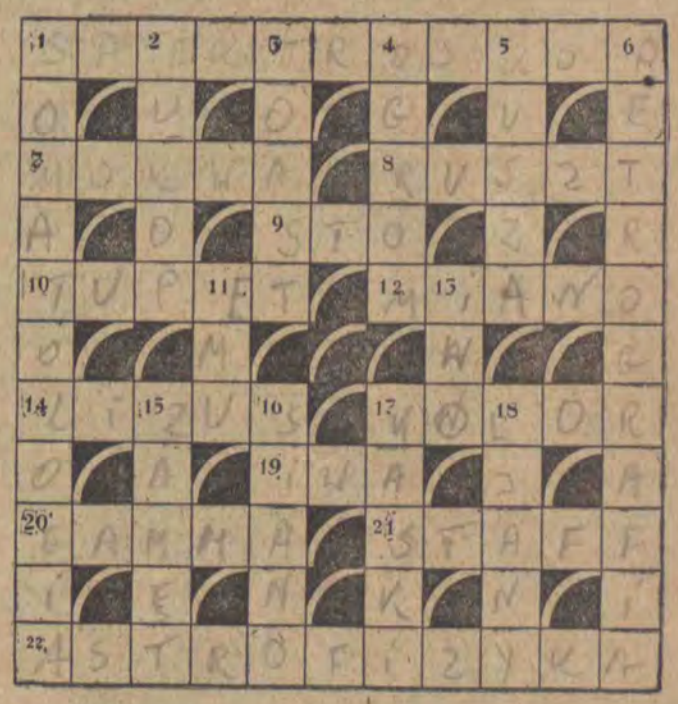

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1) Przyrząd do wywoływania i obserwacji widm. 7) Ulubione drzewo jedwabnika. 8) Palenisko. 9) Liczba. 10) Czupurność, pewność siebie. 12) Nazwa. 14) Pochlebca. 17) Barwa. 19) Wierzba. 20) Litera grecka lub promienie wysyłane przez pierwiastki promieniotwórcze. 21) Poeta polski. 22) Dział astronomii, zajmujący się badaniem fizycznych i chemicznych własności ciał niebieskich.

Pionowo: 1) Anatomia, nauka o ciele ludzkim. 2) Pierwiastek chemiczny, należący do tzw. „ziem rzadkich". 3) Wznosimy na bankiecie. 4) Mnóstwo, wielka ilość, nawał. 5) Rodzaj łuku; dawna broń. 6) Nauka o skałach i minerałach. 11) Struś. 13) Imię męskie. 15) Nieład, zamieszanie. 16) Sucha trawa. 18) Hełmy strażackie. 18) Pnącza w lasach zwrotnikowych.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Wszystko się raduje

Niedawno temu ogłosiło nasze radio dane, które przeminęły bez echa, a powinny, na dobrą sprawę, poruszyć opinię społeczną. Pomińmy cyfry, są one zawsze względne i nie zawsze pewne. Ale pewny jest gwałtowny spadek życia kulturalnego na wsi, zniżkuje czytelnictwo, zamierają zespoły świetlicowe, znikają punkty biblioteczne, pojawia się natomiast szmira.

W pierwszej chwili wydaje się to nieprawdopodobne. Jakże tak? Czytelnictwo spada, a równocześnie rozwija się wspaniale ruch wydawniczy? Jak to? Półki, wystawy księgarskie uginają się od nadmiaru książek. Można śmiało sądzić, że czytelnikowi niczego brakować nie może, chyba tylko pieniędzy. Ma do dyspozycji współczesną prozę całego świata, klasykę całego świata i kryminały całego świata — słowem jest wszystko, czego dusza zapragnie.

Można by sądzić, że osłabnięcie tętna życia kulturalnego na wsi wynika z pewnego niedopasowania olbrzymiej machiny wydawniczej do istotnych potrzeb tych, którzy mieszkają za rogatkami większych miast. Rzeczywiście, trudno sobie wyobrazić przeciętnego chłopa, który chwali pana Boga, partię i równocześnie „poletko pana Boga". Jeszcze trudniej wyobrazić sobie, powiedzmy, kobietę wiejską, powtarzającą zachwyty niektórych krytyków nad Hłaską, klaszczącą z uciechy po przeczytaniu Gombrowicza.

Sęk wszakże w tym, że nie trzeba sobie wyobrażać takich sytuacji. Na wieś z reguły nie dochodzą ostatnio te książki, na wieś nie dochodzi prawie nic. W bibliotekach straszy wciąż jeszcze literatura buraczano-traktorowa, której bohater ucieka kułakowi do miasta, wraca na warczącej maszynie do POM-u i w jednym rozdziale zamienia stare na nowe. Od kilkudziesięciu już lat komplet pisarzy dla wsi sprowadza się do Kraszewskiego, Sienkiewicza, Orzeszkowej i jeszcze kilku innych. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że pretensje pod adresem współczesnej literatury są tedy słuszne. Czy aby na pewno? Współczesna literatura krajowa i importowana, obsługuje ponad wszelką wątpliwość określone kręgi czytelnicze. Można przecież mówić o kręgu entuzjastów Hemingwaya, Caldwella, czy Steinbecka, albo — o kręgu wielbicieli Hłaski. Z tym jednak, że te kręgi nie stanowią jeszcze kręgosłupa, na którym mogłoby się oprzeć całe czytelnictwo. Ale o czytelnictwie nie stanowią takie czy inne braki literatury, dobrych książek nie brakuje. Brakuje natomiast rozsądnej polityki kulturalnej. Polityka kulturalna — powiadają niektórzy — już nas znowu straszą? Znamy te dobrodziejstwa! Wetkną naiwnemu chłopu w rękę „Zorany ugór" i zapytają podstępnie: podobało się? Ano, podobało, zgrabne — odpowie chłop. Znaczy akceptujecie treść? Wypada, że nie inaczej. No to macie tu deklarację, podpiszcie, będziecie, jak ten bohater książki — spółdzielcą. Ot i spełniony zasadniczy cel — chłop czyta arcydzieła i do socjalizmu mu bliżej.

Zapewne, zapewne, pomijając już jej szlachetne cele, niedobrze się robi na wspomnienie tak pojmowanej polityki kulturalnej. Ale też nikt nie chce do niej powrócić. Znikła ze sceny świetlicowej dziewczyna, która replikowała klasowo na oświadczyny: jak się, Antoś, w burakach podciągniesz, do kolektywu wstąpisz, kukurydzę zasadzisz, to pójdziesz do sekretarza gminnego na tę weryfikację. Znikła, a wraz z nią wiele złych i — niestety — dobrych zespołów świetlicowych, lecz nie znikła polityka kulturalna. Bohaterka sceny świetlicowej nie mówi — Antoś, podciągnij normę, mówi teraz tak: — oddaję ci serce, kochany Erneście, ale mam kochanka, który wie o reszcie.

Te dwa miłosne refreny określają jakościowe przesunięcia w polityce kulturalnej, która trwa, choć zmieniła niejako właściciela.

Dochodzą nas z terenu województwa łódzkiego niepokojące wieści. Na świetlicowej scenie pojawia się otyły spekulant, pan Wekselkiewicz i w ciągu „słuczki" pokazuje widowni, jak się wydaje córkę za mąż. „Moja kochana, jak kto zarabia... to może być nawet pokraką. Czy wolałabyś jakiegoś hołysza z „Funduszu Pracy"? Patrzcie, jak się zmienia czas! Jeszcze kilka lat temu panny wychodziły tylko za czołowych chlewmistrzów, i plantatorów, a teraz pan Wekselkiewicz przestrzega przed zięciami-robotnikami i oddaje córkę bohaterowi z prywatnej inicjatywy, który zajmuje się nie tylko interesem, ale i poezją. W ostatnim akcie szczęśliwy narzeczony pada na kolana i deklamuje:

„Jak piękne oczy
W ramionach roztoczy
Co miłość jednoczy
I szczęście już kroczy".

Kurtyna spada, a nam wypada jeszcze tylko wyjaśnić, że ta sztuczka nosi tytuł — „Zięć z przeszkodami", a napisał ją pan W. Raort, oczywiście przed wojną, zastrzegając sobie pełne prawo co do wystawień.

We Włocinie, sieradzkiego powiatu, odgrzebano komedię w trzech aktach pt. „Biuro kojarzenia małżeństw". Czego w niej nie ma! Sieradzki chłop zobaczy wreszcie wielki świat — króla konserw mięsnych, wielką artystkę filmową, autentycznego detektywa, właścicieli biur matrymonialnych, widowisko na poziomie wyborów miss Łodzi! I tym razem wiejski widz dowie się, że tylko połączenie dwóch doskonale prosperujących firm zapewni ich właścicielom — mężczyźnie i kobiecie — dozgonną miłość.

W Załęczu Małym pod Wieluniem wyszperano sztukę — „Partyzanci". Trudno mówić o jej treści, można bowiem bez złej woli urazić uczucia wierzących, ale jakoś tak z tej sztuki wynika, że bohaterami partyzantki byli przeważnie święci, organista i duch bojowy, wiodący się z roku 1920.

Jeszcze gdzie indziej ekshumowano sztukę — „Dla ciebie, Polsko", poświęconą Legionom Józefa Piłsudskiego. Słowo „legiony", zamienia lokalny reżyser na „partyzanci" i już się okazuje, że nie ma żadnej różnicy pomiędzy rokiem 1914 i 1942. Spuśćmy już zasłonę na słynne przedstawienie „Karpackich górali" w klasztorze łagiewnickim. Biedny Korzeniowski w grobie się przewraca. Któż go obroni? Nie mówmy więcej o sławnych „Werblach domowych", „Żywych nieboszczykach", czy „Żydach w beczce". Mówmy wreszcie o polityce kulturalnej, która — jak dotąd — polega w dużej mierze na konfiskowaniu, o ile się da, tego rodzaju arcydzieł. Rzeczywistość nie zna próżni, jeżeli my nie robimy polityki kulturalnej, robi ją za nas kto inny — pokątny wydawca kartek pocztowych z miłosnymi parami, właściciel wytwórni dzieł odpustowych, rozmaite stowarzyszenia, dla których jedynym usprawiedliwieniem ma być fakt, że „powstały oddolnie". O polityce kulturalnej w naszym województwie będziemy jeszcze pisać. Na razie trzeba chyba uświadomić sobie, że tętno życia kulturalnego naszej wsi słabnie, a my zadowoleni z przełomu, odnowy, deklamujemy:

„Wszystko się raduje,
Krówka na oborze,
Owca podskakuje
I co które może"...

MARIAN BIELECKI

Igraszki Temidy

Nie wiem, ile w tym prawdy — nigdy nie należałem do osób wtajemniczonych w intymne sprawy Olimpu — ale pewien godny zaufania znawca zagadnień olimpijskich opowiadał mi o niezupełnie moralnych stosunkach pomiędzy Temidą — boginią sprawiedliwości, obyczaju i porządku, a ożenionym z Herą, gromowładnym władcą Olimpu — Zeusem. Bywało czasem, iż ta na ogół mądra i doświadczona bogini ściągała z oczu opaskę, odkładała do kąta miecz, wagę i oddawała się igraszkom. Co prawda tylko z bardzo dorodnymi i ustosunkowanymi bywalcami Olimpu.

No cóż — dodał znawca — tak było, jest i tak chyba już będzie...

Trochę się przeciw temu buntowałem. To chyba niemożliwe, aby sprawiedliwość ulegała sugestii munduru i dziś. A tu, masz ci los — leży przede mną gazeta, z której dowiaduję się, że na Bogu ducha winnego przechodnia, niejakiego ob. Królikowskiego, napadli chuligani i mocno go poturbowali. Wezwano pogotowie MO. Jeden z przybyłych milicjantów nazwiskiem Jamro, nieźle podpity, uderzył pałką w głowę bynajmniej nie napastnika lecz napadniętego, co stało się bezpośrednią przyczyną jego zgonu. Krótko mówiąc: pijany milicjant zabił człowieka, któremu miał nieść pomoc.

I oto po upływie kilku miesięcy odbywa się rozprawa sądowa. Wyrok? Chuligani zostali zasądzeni na 6 i 7 lat więzienia, a Jamro został skazany jedynie na trzy lata więzienia!...

Wiadomo, że MO usprawniła swoją pracę, czym zaskarbiła sobie wdzięczność społeczeństwa; że trzon jej stanowią ofiarni ludzie w każdej chwili gotowi do najwyższego poświęcenia. Jeżeli więc w jej szeregi trafi człowiek niegodny, tym bardziej prawo musi być wobec niego surowe. Pomyłka sądu polega na tym (tak ją widzi przynajmniej odbiorca-człowiek z ulicy), że przynależność do organizacji staje się — jak w wypadku Jamro — momentem łagodzącym. Pomyłka fatalna, gdyż ani społeczeństwo ani MO nie chce uznać takiego rozwiązania. Za przestępstwo jednego lekarza nie można obarczać odpowiedzialnością całego klanu lekarzy; za potknięcie jednego uczonego — wszystkich uczonych. Niebezpieczeństwo tkwi w tym, że ludzie mają skłonność do uogólniania: wypadek sporadyczny przyjmują za powszechny.

Przychodzi mi na myśl inna głośna swego czasu w Polsce sprawa syna Thalii — Kazimierza Pawłowskiego, który nabrolwszy, opuścił Olimp, wyjechał za granicę i odwróciwszy się tyłem do łaskawej Temidy, odmówił powrotu do kraju. Zostawił na łasce losu trzy żony z dziećmi, sam zaś zbiera laury jako kelner we frankfurckiej knajpie.

Jest również na naszym polskim Olimpie inna, co prawda jedna z najmłodszych muz, której „dobrego imienia", mimo oczywistych faktów, nikomu szargać nie wolno. Mam na myśli Filmię.

Niedawno pewien łódzki dziennikarz został skazany przez Temidę na trzy miesiące aresztu za „zniesławienie reżysera". Dziennikarzowi chodziło o ustalenie celowości wydatkowanych pieniędzy na filmowanie Pałacu Kultury w Warszawie. No trudno, nauczony doświadczeniem kolegi nie będę tym razem wymieniał nazwisk, ale powszechnie znanych faktów chyba nikt w Polsce Ludowej, konstytucyjnie gwarantującej wolność słowa, nie zabroni mi przytoczyć.

Więc chciałbym zapytać, kto i jaką poniósł odpowiedzialność za zmarnowane miliony na produkcję nieudanych, niepotrzebnych, kompromitujących filmów? Może reżyserzy, może kierownicy produkcji? A może kierownicy zespołów? Może kierownicy wytwórni, a może dysponenci finansowi? Czy choć jeden z nich dostał wymówienie za nieudolność? Nikt.

Cały naród oburza się i narzeka, prasa od lat bije na alarm, a rezultat? Sąd skazuje dziennikarza za „zniesławienie reżysera". Może nawet słusznie, ale, u licha, kto ponosi odpowiedzialność za zmarnowane miliony?

Niektórzy nasi publicyści, bardzo aktywni w okresie przedpaździernikowym, popadli ostatnio w pewien pesymizm. Stracili wiarę w skuteczność drukowanego słowa. Kogo to właściwie obchodzi? — pytają. Kto się tym wzrusza i co się na skutek naszych artykułów zmienia?

Niezupełnie podzielam ten pesymizm. Wręcz przeciwnie — wierzę w siłę drukowanego słowa, wierzę w siłę opinii publicznej, wierzę w zdrowy rozsądek mas społecznych.

Przed kilku np. dniami znalazłem się w środowisku robotników jednej z łódzkich fabryk włókienniczych. Właśnie robotnicy podczas gorącej dyskusji przytoczyli niektóre z wyżej podanych przykładów, zadając przy tym tego rodzaju pytanie: Dlaczego za pewne przestępstwa udziela się tak niskich kar?

Jesteśmy w ostatnim okresie świadkami dużego nasilenia procesów przeciwko dziennikarzom, którzy z reguły otrzymują wyroki skazujące. Ludzie mówią, że to „akcja na dziennikarzy". Kiedy indziej znów mówi się o „akcji na chuliganów", „na dyrektorów", „na spekulantów" itd.

Jeśli miałbym coś do zarzucenia naszej Temidzie, to nie surowość jej wymiarów, czy też brak obiektywizmu w ferowaniu wyroków — broń Boże! — lecz przede wszystkim **akcyjność** jej działania. Nic tak nie obniża autorytetu aparatu wymiaru sprawiedliwości jak właśnie te ciągłe akcje „na chuliganów", „na dziennikarzy", „na spekulantów", „na dyrektorów" itd. I na odwrót — nic tak nie umacnia autorytetu Temidy, nic nie wpływa bardziej budująco na społeczeństwo, jak poczucie s t a b i l n o ś c i prawa i wymiaru sprawiedliwości.

Obywatel kraju musi mieć poczucie, że aparat wymiaru sprawiedliwości nie działa w atmosferze czasowego podniecenia czy nerwowości. W podniesieniu autorytetu Temidy, zarówno jej flirty i igraszki, jak złe humory, nerwowość czy pobudliwość z pewnością nie pomogą.

Sprostowanie

W recenzji Onufrego Gaydy pt. „130 poetów radzieckich" w poprzednim numerze „Odgłosów", zostało przez pomyłkę opuszczone nazwisko autora antologii, znanego krytyka i tłumacza literatury rosyjskiej i radzieckiej, Sewerynа Pollaka.

Na tropach gwiazd i gwiazdeczek (II)

Gdyby przeprowadzić za pomocą ankiety statystykę, jaki zawód uważa się u nas w Polsce za najłatwiejszy, okazałoby się, że zawód aktora filmowego jest uważany za zajęcie, którego gotów jest się podjąć bez przygotowania co drugi obywatel Polski Ludowej bez względu na wiek i płeć.

Wniosek taki nasuwa się nieodparcie na podstawie lektury listów, które trafiają codziennie do moich rąk z różnych stron naszego kraju i w których nieodmiennie powtarzają się oferty zagrania w filmie (przeważnie głównej roli) bardzo często uzupełnione propozycjami przedłożenia własnego scenariusza.

Sam fakt szerokiego zainteresowania filmem nie byłby jeszcze objawem złym, ale niestety przeważnie piszą do nas osoby, które przeceniają własne możliwości. Niektórym wydaje się, że wystarczy głębokie przekonanie o swoim talencie aktorskim, poparte opinią najbliższej rodziny. Tacy gotowi są podjąć się z miejsca każdej roli w filmie, a odrzucenie przez nas tej frapującej oferty oznaczać będzie głęboką osobistą krzywdę nie mówiąc już o niepowetowanych stratach dla polskiej twórczości filmowej.

Dla zilustrowania moich słów chcę zacytować tutaj kilka autentycznych fragmentów z listów otrzymanych przeze mnie ostatnio. Pisze np. obywatel S. między innymi:

„...pragnę pracą swą poświęcić się filmie drogą artysty filmowego włączyć się na szersze drogi filmowe. Film, którego jestem wielkim zwolennikiem wywołał na mnie wielkie wrażenie i pociąg za sobą... film prawie od lat najmłodszych rzeźbił w umyśle moim koryto przeznaczenia, lecz rodzina była bodźcem zatrzymania..."

Inny, namawiając nas do zaangażowania go w charakterze aktora filmowego, używa następujących argumentów:

„...mam wielkie zamiłowanie do działalności filmowych i ładny głos mogąc go zmienić na cienki, średni i gruby... mam wielkie chęci i zamiłowanie do aktorstwa śpiewaczego względnie grania jakiejś komedyjnej roli... bardzo mnie cieszy praca aktora... załatwcie mi sprawę wesoło... albo do pracy za operatora filmowego..."

Nie załatwiliśmy mu sprawy wesoło, bo nam się robi smutno, kiedy czytamy tego rodzaju wypowiedzi traktowane przez nadawców najzupełniej poważnie.

Przytoczę jeszcze jeden fragment listu, którego nadawca jest tak głęboko przekonany, że powinien grać w filmie, że jak pisze:

„...naprawdę czegoś strach mnie ogarnia, że może marzenia mogą się ze mną sprzeciwić. Tego boję się bardzo, bo gdy spojrzę na swoje zdjęcie widzę w nim talent aktora filmowego... gdy słucham swego głosu zbudza się we mnie zdziwienie jak to umiem siebie podzielić by odgadnąć raz charakter wojskowy, raz charakter prawdziwej miłości i innych momentów tragedii..."

Nie napisałem jednak tego wszystkiego tylko po to, żeby wyśmiać niefortunnych kandydatów na gwiazdorów filmowych, ale przede wszystkim, żeby przestrzec tych wszystkich, którzy marzą o karierze filmowej, że zawód aktora jest zawodem, którego trzeba się uczyć tak samo jak zawodu lekarza czy inżyniera z tą jeszcze małą różnicą, że poza sumą niezbędnych umiejętności i techniki, trzeba również posiadać wrodzony talent.

No, dobrze, może mnie teraz ktoś zapytać, ale co znaczą wobec tego te łowy na nowe twarze, o których się ostatnio tyle pisze i urządza się nawet specjalne konkursy tym poszukiwaniom poświęcone? Owszem, będzie się nawet na tym miejscu pisało sporo o sprawach związanych z szukaniem nowych twarzy do filmu, ale po pierwsze poszukiwania te dotyczą w większości sporadycznych konieczności obsadzenia niewielkich rólek i epizodów i nie wróżą wielkiej kariery bo tego rodzaju propozycje kończą się na jednorazowym udziale w jakimś filmie, do którego ktoś został akurat dobrany ze względu jedynie na swój wygląd zewnętrzny. Po drugie, jeżeli chodzi o młodzież, to szukając stale ciekawych twarzy i talentów i urządzając konkursy, chcemy później zachęcić wyłowione przez nas wybitniejsze jednostki do dalszych studiów artystycznych, ułatwiając im wstęp na odpowiednie wyższe uczelnie, jeśli spełniają inne potrzebne do tego warunki.

ANATOL KOBYLIŃSKI

Praworządność przede wszystkim! Takie tablice pouczają handlowy ludek, co można a czego nie można. Od czasów 10 przykazań biblijnych los wszelkich praw jest podobny: choć wszyscy je znają, rzadko kto je przestrzega...

FOTOGRAFOWAŁ:

STEFAN MICHAŁOWSKI

ZIELONY RYNEK

Obietnica — „kupię ci sukienkę na Zielonym Rynku" — bywa w sprawach sercowych decydującym argumentem.

Nie brak i dzieł sztuki (bardziej zrozumiałych niż na niektórych wystawach)

— Ja tam nikomu nie ufam. A nuż pan jest z PIH-u?

— Mamo! Kup mi skakankę... Nie napieraj się. Mamusia nie ma pieniędzy...

— Koszyki, koszyki tylko tutaj!

— A ja, panie władzo, zawsze jestem w porządku! Proszę, mam pozwolenie na handel...

— Kwiatki, kupujcie kwiatki! Takich w żadnym MHD nie znajdziecie!

WACŁAW MROZOWSKI

Z Johnem Barleycornem

IV

Na dworze było jeszcze szaro,
gdy półprzytomny się zbudziłem,
w karafce nic już nie zostało
więc mocnej kawy się napiłem.

I odurzony jej zapachem
wspomniałem dawne z nim spotkanie,
kilka porterów, wina flachę,
jakąś dziewczynę w pustej bramie.

I z domu chandra mnie wygnała,
której się oprzeć brakło siły,
w oczach bez przerwy migotały
poprute tępym nożem żyły.

A gdy wracałem już o świcie
klnąc w duszy świat i Barleycorna,
ujrzałem w oknie swoje życie,
nad którym płacząc stała żona.

VII

Od kilku dni nie byłem w domu,
piłem na dworcach i po knajpach,
aż dziś jak złodziej po kryjomu
wracam wchłaniając września zapach...

I chociaż w głowie mi się mroczy
i nogi się pode mną chwieją,
spróbuję spojrzeć żonie w oczy,
aby uwieńczyć je nadzieją,

że przecież nic się nie zmieniło
w naszym kochaniu już jesiennym,
w którym dogasa wielka miłość
jak znicz na grobie bezimiennym.

IX

Już świt. Nareszcie jestem sam.
Za bramą zostawiłem Johna.
Podał mi dłoń i rzekł, że mam
dozgonną przyjaźń Barleycorna.

I uwierzyłem, głupi gnom
w okrutną prawdę, co mnie spala
i kłamie moim własnym snom,
i kochać nie pozwala.

Powoli sięgam smutku dna
i jak topielec z prądem lecę,
tak ginie oślepiona ćma
ciałem swym gasząc płomień świecy.

Początki twórczości Wacława Mrozowskiego sięgają okresu najbujniejszego rozkwitu naszej poezji — roku 1933, w którym ukazał się młodzieńczy tomik wierszy *„Mosty nad życiem"* i w 1934 *„Rzeczywiście"*. Jeden i drugi przed maturą.

Rok 1935 przynosi *„Antologię współczesnej poezji szkolnej"*, dziś pozycję bibliofilską, 1936 — tom liryk *„Dobranoc ... dobranoc..."* i wreszcie 1939 — *„Arkusz poetycki 14"*. W skrócie dorobek przedwojenny.

Po wojnie w 1948 tomik: *„Liryki dolnośląskie"* i w 1956 tom: *„Ludziom czułym"* odbity na maszynie w ilości 10 (dziesięciu!!!) egzemplarzy, wyłącznie dla przyjaciół i znajomych.

— Co pan obecnie wydaje?

— „Wiersze wybrane", które ukażą się w niedługim czasie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie.

— A co pan ma na warsztacie?

— Morduję się nad rozpoczętym przed 10 laty tomem prozy *„Dobra 9 m. 24"* z życia lubelskiej cyganerii literackiej w Warszawie (Czechowicz, Domiński, Iwaniuk, Łobodowski, Michalski, Mrozowski i Piętak). Poza tym piszę sztukę sceniczną o alkoholizmie, społecznych przyczynach i skutkach picia. Piszę z myślą, że nie ujrzy to nigdy światła dziennego i dla tego nie śpieszę się. Poza tym wiersze.

— Projekty na przyszłość?

— Wyjazd do Warszawy, w której już w maju czekać będzie na mnie własna willa na Saskiej Kępie, apel o przywrócenie do życia Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, którego chlubną działalność przerwano kilka lat temu ku radości woźniców i rozpaczy koni, no i marzenie... oddania się w pacht kobiecie, która nie poznała jeszcze Johna.

REDAKCJA

X.

Już jutro nie wypiję klina,
drzwi od pokoju są bez klamki,
glukoza, cebion i strychnina
zastąpią spirytusu lampki.

Katz mnie powali i pokręci,
Ewipan uśpi i pochłonie
i pozostaną w mej pamięci
ręce ze straszną głową w dłoni,

oczy patrzące w twarz ziemistą,
lękliwe i dogasające...
tak matka patrzy w pościel czystą,
na której ślady krwi gorące.

Przypisane dr. Ryszardowi Krasilewiczowi

Wspominki – docinki

DOBRE TRADYCJE „ZŁEGO MIASTA"

Sławetności rycerskiej Łódź nigdy nie miała. Fama o mieście krążyła raczej nie dobra. Tu ukształtował się typ „lodzermenscha", człowieka interesów, chciwego i bezwzględnego. O nim pisał z odrazą Reymont.

Zwolna w tej pozornej „ziemi obiecanej" narastają przesłanki nowego. Miasto „z wierzchu" wyglądało jak obce. Ludność ze wsi napływała polska. Polskie serca biły patriotyzmem. Znany jest udział Łodzi w ruchu niepodległościowym już w 1863 roku. W listopadzie 1918 r. dziesięciu robotników otrzymało Krzyż Walecznych za rozbrajanie okupanta. 18 marca 1925 r. Łódź uczciła pamięć Nieznanego Żołnierza kładąc płytę pamiątkową przy placu Katedralnym. Obecny przy tej uroczystości był ówczesny minister spraw wojskowych generał Władysław Sikorski.

Czule reagowała Łódź na wielkie wydarzenia kulturalne w kraju. 26. X. 1924 r. Rada Miejska odbyła uroczyste posiedzenie z racji sprowadzenia do kraju zwłok Henryka Sienkiewicza. Cała Łódź czciła pamięć wielkiego pisarza.

17. XII. 1925 r. miasto nasze żegnało Stefana Żeromskiego. Przejęte bólem składało hołd Zmarłemu Twórcy, który z takim współczuciem pokazał w „Róży" niedolę robotników.

3 maja 1927 r. dokonano uroczystego poświęcenia kamienia węgielnego pod pomnik Tadeusza Kościuszki. Wraz z garścią ziemi przywiezioną z pól racławickich zamurowano wtedy akt erekcyjny.

Akt ten głosił:

„Pomnik ten staje na placu Wolności m. Łodzi jako symbol łączności i jednolitości kultury narodowej w ciągu wieków oraz jako wyraz kultu narodu polskiego, dla świetlanej pamięci autora Uniwersału Połanieckiego, zwycięzcy spod Racławic oraz nieugiętego w ciągu całego życia Rycerza wolności swej Ojczyzny i ludów".

Drugi pomnik bojowników o wolność narodu stał na Polesiu: czcił on pamięć rewolucjonistów 1905 roku, rozstrzelanych przez carat. Ku temu pomnikowi kierowały się w latach międzywojennych robotnicze pochody 1 maja.

Dwa te pomniki manifestowały patriotyzm i uczucia wolnościowe łodzian.

Czemu więc dziś zwlekamy z odbudową pamiątek tak drogich łódzkiemu sercu?

NAJSTARSZA INSTYTUCJA

O miłości wiedziałem wcześnie. W Łodzi wychodził „Bocian" oraz „Wolna myśl — wolne żarty". Nie ma co, było na czym się uświadamiać. Oczywiście, „Wolnej myśli" proszę nie mylić z „wolnomyślicielami", chodzi raczej o wolne żarty... erotyczne. Co pewien czas przyjeżdżał „gabinet chorób wenerycznych", gdzie za opłatą (było to prywatne przedsiębiorstwo dochodowe) „upoglądowiałem" moje wiadomości. Do reszty uświadomiłem się w Warszawie. Na uniwersytecie prof. Władysław Witwicki miewał wykłady z psychologii i z... właśnie, o tym chcę wspomnieć.

— Niech pani mi powie, jakie są najstarsze instytucje na świecie. Nie wie pani? Kościół i prostytucja. No, nie trzeba się rumienić, widocznie dom publiczny jest ludziom potrzebny.

Piszę to ojcom miast ku rozwadze, jako że przygotowuje się radykalne projekty zniesienia prostytucji...

Sokrates zwykł był łapać na rynku przechodnia: — Powiedz mi, szlachetny Tymonie, co ty myślisz o...

Ja nie mając pod ręką Tymona zapytałem jedną z wesołych (!?) cór Koryntu, co sądzi o skuteczności walki z prostytucją.

— Nie za naszych czasów powstała, nie za naszych zginie.

Hm! Przypomniał mi się Witwicki.

JAK SKRZYWDZONO ŚWIĘTEGO

Narzekamy na brak tradycji. Nie zawsze słusznie. Wbrew pozorom uwieńczeni laurem koledzy ze Związku mają dość licznych poprzedników.

Zaczęło się to wszystko już w roku 1903. Redaktor dziennika „Rozwój" Wiktor Czajewski urządził konkurs literacki im. H. Sienkiewicza. Plon miał ożywić łódzką scenę. Wpłynęło dwadzieścia kilka sztuk. Pierwszą nagrodę (400 rubli) otrzymał Tadeusz Rittner za czteroaktową satyrę na biurokrację pt. „Maszyna". Dalsze zwycięstwa: E. Grabowski, B. Gorczyński (za sztukę „Noc lipcowa") i St. Brzozowski (za „Mocarza"), „Noc lipcową" grywano w Łodzi jeszcze za moich szkolnych lat.

Chodziłem już mocno pod

(Dokończenie na str. 7)

HELENA DUNINÓWNA

Gruszkowa komoda

„...W izbach po lewej i prawej stronie domu mieszkalnego znajdowały się: łóżka, komoda gruszkowa o trzech szufladach, w nich 4 powłóczki na pościel, 22 sztuki koszul męskich i niewieścich, 4 ręczniki i 1 obrus; zegar stołowy na postumencie, lustro ścienne średniej wielkości, szafa kuchenna czerwono malowana, 1 stolik, 6 krzeselek, 1 flinta, 1 wiatrówka oraz pałasz. W szafie z lustrem... w papierach złp. 105, srebrem złp. 95 oraz różnych książek niemieckich 58; w szafie bez lustra znajdowały się 3 surduty sukienne, 1 walizka z futrem, 4 pary spodni i chustka merynosowa amarantowa. Na facjacie było jeszcze 16 książek..."

Tak przedstawiało się w roku 1829 wewnętrzne bogactwo domu Ludwika Geyera syna starego „fabrykanta bawełnianych wyrobów mody" w Neugerzdorf pod Łobau w Saksonii, który wraz z ojcem do Łodzi z początkiem 1828 roku przybywszy, tu rozpoczyna swoją przyszłą, na wielką skalę zakrojoną działalność, zakładając fundamenty pod wielki przemysł bawełniany łódzki. Nie wszystko to jednak jeszcze, co posiada wówczas pan Ludwik Geyer. Ma przecież jeszcze całe gospodarstwo: 2 morgi żyta, morgę warzyw, 1 konia, 2 krowy, 1 brykę „saską" i 5 fur siana...

Ryś. T. Kokietek

Ma dom mieszkalny dachówką kryty, drewniany, parterowy, długi na 32 łokcie frontu, stajnię z wozownią, szopę do robienia cegły i z gontowym dachem domek drewniany na przechowanie maszyny do osmalania kartonów, którą nazywa — „Zeng-Maschine".

No, a przede wszystkim ma pan Geyer swój „fachowy" majątek: jedenaście warsztatów tkackich, wstawionych do prywatnych mieszkań dziesięciu tkaczy, a poza tym, u siebie, na swoim terytorium — maszyny: do skręcania nici, do osmalania perkali, do drukowania przędzy, jeden warsztat z lanego żelaza i drewnianych części złożony, do drukowania perkali, 500 szpulek, ponad 100 nicielnic oraz warsztat tkacki.

Nie brak mu i gotowych wyrobów: przędzy bawełnianej — białej i kolorowej 283 funty, perkalu 590 łokci, 3 sztuki nankinu, 15 par pończoch czarnych, 2 tuziny — bawełnianych, 34 chustki do nosa żółto drukowane i odpowiedni zapas farb potrzebnych...

Tak oto rozpoczyna swą od roku już z Łodzią związaną karierę przyszły „królik" łódzki.

Grunty, które upatrzył już zawczasu i wybrał na osiedlenie się, leżały na terytorium Rękodzielniczej Osady Łódka i graniczyły z ulicami: Piotrkowską, Górnym Rynkiem i Zarzewską. Z czwartej strony dotykały do stawu, który wówczas należał do miasta, z czasem jednak przeszedł na własność Geyera. Posiadał jeszcze Geyer pięć wzniesionych przez siebie domków murowanych przy ul. Zarzewskiej, które przeznaczył na mieszkania drukarzy.

Skromne, jak widzimy, były podstawy, na których wznieść się miała z biegiem lat olbrzymia rozbudowa Geyerowskiego przemysłu, jego fachowe jednak doświadczenie, zdolności administracyjne i organizacyjne, naprawdę imponującą pracowitość, no — i wiadoma wszystkim bezwzględność w stosunku do pracowników — pozwoliły mu nie tylko przetrwać bez wielkich uszczerbków ciężkie lata 1830 — 1831, ale szybko, umiejętnie i tak samo bezwzględnie wykorzystać sprzyjające mu w latach popowstaniowych koniunktury: konieczność zaopatrywania się zubożałej ludności w wyroby tanie, bawełniane; upadek przemysłu wełnianego i lnianego, wywołany wojną; nędzę tkaczy, która pozwalała zatrudniać ich warsztaty za bardzo niską cenę.

Z biegiem czasu, w miarę wzrostu produkcji, rozszerza Geyer swe terytoria. Bierze w wieczystą dzierżawę place między obecnymi ulicami: Kątną i Radwańską, tereny bagniste, na których zakłada kopalnię torfu; odkupuje fabrykę „czerwieni tureckiej" oraz sąsiednie place, leżące wzdłuż ulicy Czerwonej między Piotrkowską a Wólczańską.

TYLKO DLA NAIWNYCH! RZECZY ZMYŚLONE

Charaktery rozumów ludzkich

MARIAN PIECHAL

Ten owo powyższy tytuł raczyłem ja sobie wziąć z niejakiego Michała Wiszniewskiego, który przed półtora bez mała wiekiem napisał książkę pod takim właśnie tytułem. Książkę mądrą, i co za tym idzie, jeszcze do dziś aktualną. Zwłaszcza dziś. Rozpatruje ci tam jej autor zależność rozumu człowieka od jego charakteru. Bo sam rozum nie wystarcza, żeby nim czynić dobrze, a przynajmniej pożytecznie. Wszak ci diabeł, czyli duch nieczysty słynie z tego, że jest rozumny, ale czy dobry? No, juści, że skoro jest nieczysty, to nie może być dobry, i co za tym idzie, musi być zły. Otóż, ażeby rozum służył stosownie do potrzeb ludzkich, musi być połączony z charakterem człowieka, który go w celach dobrych albo złych, umiejętnie albo nieumiejętnie używa. Boć można chcieć użyć rozumu swego własnego, przyrodzonego z natury, danego w celach dobrych, ale nieumiejętnie i wtedy wyjdzie na to samo, co chcieć go użyć w celach złych, i co za tym idzie, bezwiednie iść na rękę temu, co go używa w celach złych nie tylko świadomie, ale i umiejętnie.

Ta potrzeba silniejszego dziś, niż kiedykolwiek, związania rozumu z charakterem, i co za tym idzie, uzależnienia jednego od drugiego jest tym bardziej uzasadniona, że jak stwierdza głośny ostatnio Artur Sandauer w n-rze 2 „Dialogu", kultura techniczna naszych czasów i nowe ustroje „upraszczają człowieka, sprowadzają go do zasadniczych funkcji", czynią go marionetką — bezdusznym manekinem, i co za tym idzie, kierującym się w życiu jedynie odruchami warunkowymi, bez udziału myśli i sumienia, czyli rozumu w połączeniu z charakterem. A przecież tylko ten rozum w połączeniu z charakterem czyni z istoty ludzkiej człowieka godnego tej zaszczytnej nazwy, i co za tym idzie, pożytecznego członka społeczeństwa.

Ale — ba! — czy pożytecznego? Boć właśnie owa powyżej wspomniana książka Wiszniewskiego mówi, że nie zawsze. Że to zależy od jakości tego rozumu i od jakości tego charakteru, a także jeszcze i od ilości sposobów przyrodzonego niejako połączenia, czyli uzależnienia jednego od drugiego i że dopiero te owe właśnie takie albo inne skrzyżowania rozumu z charakterem dają dany właśnie taki lub owaki typ ludzki.

Stare przysłowie polskie: „Co głowa to rozum" świadczy, że rozum to podobnie jak i talent jest darem natury. Ale podobnie jak i talent można rozum zaniedbać lub przez odpowiednie ćwiczenia i naukę rozwijać i kształtować. Tak samo i charakter. Stwierdziwszy więc oczywiste „różnice w zdolnościach umysłowych", Wiszniewski zastanawia się, jak wady i przywary rozumu wpływają na serce i charakter moralny człowieka, no i odwrotnie. Ważne to jest, zwłaszcza że „różnice atoli w rozumach nie tylko w ludziach pojedynczych postrzegać się dają i narody w zdolnościach rozumu, w przymiotach i niedoskonałościach władz umysłowych wielce się różnią".

Słowem, jacy pojedynczy ludzie w narodzie, taki i naród, i co za tym idzie, taki i los, i rola, i znaczenie, i nawet przeznaczenie jego w dziejach jego własnych i ogólnych.

Warto wymienić niektóre typy ludzkie, pozbawione wrodzonego daru rozumu. W związku z tym rozpatruje Wiszniewski zjawisko głupstwa i rozmaite jego odcienie. Zależnie więc od tych odcieni, widzimy często w życiu różnego rodzaju stopnia pospolicie nazywanych głupców, a więc głupców łagodnych, głupawych, głupiuteńkich, gapów, głupców przesądnych, głupców sprzeczających się i zapytujących, głupców przeuczonych, głupców dowcipkujących, głupców płaczliwych, głupców polerowanych, głupców zarozumiałych, głupców przemądrzałych, wreszcie półgłówków i półgłupców, do których należą pospolite typy łgarzy i blagierów, następnie dobrodusznych poczciwców, prostaczków, rozlazłych ciapów i na koniec ludzi ciemnych i tumanowatych.

Przywary i niedoskonałości rozumów też mają swoje liczne odmiany i tak jest rozum płytki i ograniczony, rozum jednej myśli, rozum bez pamięci, rozum z bujną pamięcią, rozum bez dna, rozum wykrętny i rozum przewrotny, rozum krzywy, rozum mętny, rozum leniwy, rozum zakochanego, rozum roztargniony, wreszcie rozum literacki, a dziś także i dziennikarski, w związku z czym można by mówić o tzw. pedantach, dziwakach, drobnowidzach i karłowatych geniuszach, nie mówiąc już o tzw. łbach ognistych, głowach zapalnych i urojeńcach czyli wartogłowach. Nawet rozumy tzw. stateczne, systematyczne, samorodne, spekulacyjne czy też opatrzone dowcipem mają swoje przesilenia i odmiany, czasem są to tylko pospolite zdrowe rozsądki, które także z kolei mają swoje rozliczne odmiany, jak przemyślne, zrównoważone, roztropne, przezorne, a nawet gospodarskie i rubaszne.

Co wychowuje człowieka? Dom, szkoła, sport, teatr, kino, cukiernia, kawiarnia, restauracja, dancing, stowarzyszenia, związki zawodowe, a przede wszystkim ogólna atmosfera obyczajowa, społeczna i polityczna w kraju i na świecie. Neron miał bardzo staranne wychowanie, nauczycielem jego był znany filozof Seneka, a jednak został mordercą wielu ludzi, włączając do nich Senekę. Szkoła nic nie pomoże, skoro starsi dają w życiu zły przykład. Nie może być tak, żeby w szkole mówiono o ideałach, a w życiu bieżące wypadki i wydarzenia, i co za tym idzie, postępki głośnych i znanych powszechnie osobistości świadczyły o czymś wprost przeciwnym. Bo one właśnie, te bieżące wypadki i zdarzenia, i te postępki głośnych i znanych powszechnie osobistości w kraju i za granicą, wpływają na kształtowanie się charakterów ludzi, a zwłaszcza młodzieży, a więc całego społeczeństwa, i co za tym idzie, całego narodu.

Hejże, wy tam, na świeczniku! My na was patrzymy.

Wspominki – docinki

(Dokończenie ze str. 6)

wąsem, kiedy Łodzią wstrząsnęło niebywałe wydarzenie. Świętemu Andrzejowi odebrano ulicę. Czy święty spał wtedy (na chmurach)? Dość, że zignorował tę ziemską sprawę z całkowitą obojętnością. Lecz w obronie świętego wystąpili endecy.

Rada Miejska była widownią niesłychanych bojów między fanatycznymi wyznawcami świętego a „bezbożnikami". W ruch poszły pięści, kałamarze, a ponoć co silniejsze chłopy porywały ławki.

Ale zwyciężył świecki Andrzej, Andrzej Strug, o niego bowiem chodziło. W roku 1933 autor „Ludzi podziemnych" otrzymał nagrodę miasta Łodzi i ulicę po świętym Andrzeju.

Choć rzecz ciekawa: nikt w Łodzi nie mówi „na ulicy Andrzeja Struga", tylko „idź pan na Andrzeja".

A kto dziś z łodzian wie, że „Dzieje jednego pocisku" przedstawiają m. in. Łódź z lat rewolucyjnych 1906 — 1907? Restauracja braci Jerke przy ulicy Wólczańskiej, rodzina robotnicza na Widzewie (Cywikowa i jej syn Staszek) to wierne obrazy łódzkie tamtego czasu.

Przy okazji warto wspomnieć, że ulica Juliana Tuwima też jest „komuś" odebrana (i to nie byle komu!). Jakby się czuł autor „Kwiatów polskich", gdyby się mógł o tym dowiedzieć?

Widoki dawnej Łodzi ● PARK „ŹRÓDLISKA" PRZED STU LATY

Stara litografia Walkiewicza z 1853 r. przedstawia fragment pierwszego w Łodzi spacerowego parku miejskiego, zwanego też Ogrodem Angielskim.

Najbardziej popularna nazwa tego ogrodu zachowana do dziś, to Park Źródliska. Nazwa ta wywodzi się z topografii terenu: wypływały stąd trzy rzeczki i „biły mnogie źródła"... Rzeczki-strugi płynąc poprzez liczne stawy łączyły się z rzeką Jasienią.

Jak widać ze zdjęcia, w starym parku „gwoli zabawie a przyjemnościom" — stoją altany i muszla koncertowa, wytyczono aleje spacerowe"...

Atrakcją tego parku, podobnie jak w Warszawie, były zawody strzeleckie do tarczy, po których „królem" okrzykiwany był rokrocznie najlepszy strzelec w mieście. Na liście królów kurkowych figuruje wielu wybitnych łodzian tego okresu, jak burmistrz Czarkowski, kasjer miasta Gozdowski, znani obywatele: Brzeski, Kopisch, Jezierski, Milsch.

Obok publicznych koncertów orkiestr łódzkich i nie tylko łódzkich, obok zawodów strzeleckich, wystaw ogrodniczych, park ten miał jeszcze jeden doniosły wabik — przyległy skwerek i „Wodniak", który w niedziele i święta (a zwłaszcza w Zielone Świątki) przystrojony był dziesiątkami wędrownych straganów jarmarcznych, diabelskich kół, młynów i bud czarodziejów... Całość w nocy oświetlana dziesiątkami kolorowych lampionów wyglądała i przyjemnie i niezwykle.

Ze starych kronik

pana Geyera

Poza tymi miejskimi terenami staje się wówczas jeszcze właścicielem folwarku Ruda, wraz z młynem i należącym do niego lasem. Swoje zakłady rozbudowuje tak silnie, że w 1835 roku posiada już w mieście mieszkalnych i fabrycznych budynków dziewiętnaście.

Nie zaspokaja to jednak ani jego ambicji, ani jego niestrudzonej energii. Geyer dąży teraz do zrealizowania swych największych i najśmielszych planów, które miałyby na nowe drogi skierować przemysłowe życie nie tylko Łodzi, ale i całego kraju — do założenia przędzalni „przez parę kierowanej".

Jedną z największych wówczas w Europie fabryk wyrabiających maszyny była belgijska fabryka braci Cockevill. Z nią nawiązuje Geyer kontakt i ona to dostarcza mu potrzebne maszyny, gdy — zwyciężywszy wiele trudności — otrzymuje wreszcie zezwolenie władz rządowych i wnosi wielki na owe czasy, nowoczesny gmach fabryczny. Na zakupionym w tym celu placu, przylegającym do posiadanych już przez niego terytoriów przy ulicy Piotrkowskiej, tuż obok stawu, do brzegu ulicy sięgającego, wznosi Geyer dom murowany o trzech piętrach, wsparty na głębokich, trzyłokciowych fundamentach.

Architektura fabryczna nie miała wówczas u nas żadnych tradycji — nie istniała bowiem u nas jej przeszłość i dlatego początki jej sięgały do wzorów budownictwa mieszkaniowego. Pierwsze gmachy fabryczne — najstarsze obiekty łódzkie — nawiązują do typu raczej pałacowego. Taką właśnie piękną budowlą, utrzymaną w stylu klasycystycznym, była w 1836 roku rozpoczęta „biała fabryka" Geyera, takim był w późniejszych latach bielnik scheiblerowski. Gmachy fabryczne były w owych czasach tynkowane białe i miewały nieraz nawet klasycystyczną ornamentykę.

Wieść o projektowanym sprowadzeniu 180 warsztatów, „parą kierowanych" wzbudza przerażenie zarówno wśród tkaczy łódzkich jak i z okolic Łodzi. W memoriale tkaczy pabianickich, skierowanym do Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, pod którym na pewno podpisałby się każdy tkacz łódzki, czytamy wyrazy gorącego protestu i prośby „aby założeniu takich machynów tkackich, na których tylko proste roboty ręczne wyrobione być mogą i pracującej części tkaczów żywność odbiorą, zapobiec, gdyż takowe... tkaczom bardzo szkodliwe będą... i tak już zapłata za roboty tkackie tak zniżona, że tkacze nędznie tylko się potrafią używić. Przyjdą jeszcze do tego wymienione machyny do skutku, wtedy tkacze wszyscy żebrakami się staną..."

Geyer jednak zwyciężył. 1 listopada 1840 roku, po kilku latach starań, budowy, przygotowania przy pomocy zagranicznych fachowców odpowiedniej ilości robotników, wreszcie trudnych prac montażowych — pierwsza u nas mechaniczna przędzalnia i pierwsza mechaniczna tkalnia zostały uruchomione.

Odtąd datuje się nadzwyczajny rozwój Geyerowskich zakładów i olbrzymi wzrost jego fortuny. Jakże daleko, w zapomnianej już niemal przeszłości, gubi się „komoda gruszkowa o trzech szufladach... 4 powłóczki na pościel... zegar stołowy na postumencie... czy też owa „chustka merynosowa"... albo skromne, ubogie niemal, „cztery ręczniki..." „Jedna bryka saska" rozrosła się we wspaniałe modne ekwipaże, „jeden koń" — w piękne i kosztowne cugi... Ale w miarę rozrostu Geyerowskiej fortuny, w miarę rozwoju coraz bujniejszego przemysłowego życia Łodzi, zapłodnionego przez jego krok pionierski — życie łódzkie coraz wyraźniej i coraz groźniej dwoma nurtami płynąć zaczyna.

Zakładając podwaliny pod wielki przemysł łódzki, założył „Louis" Geyer mocne fundamenty pod wielką robotniczą nędzę. Wznosząc swe białe domy („upiększyłem miasto Łódź wspaniałymi gmachami i doprowadziłem to miasto do rzędu porządnych fabrycznych miast w Królestwie" — tak mówi sam o swej działalności) skazywał robotnicze rodziny na wilgoć i chłód przejmujący najnędzniejszych nor mieszkalnych, jakie można sobie wyobrazić. Wyzysk i bezwzględność — oto szczeble, po których fabrykanci łódzcy pięli się do swych milionowych fortun.

(Z przygotowanej do druku książki: „Ważne i mniej ważne").

Rys. T. Kokietek

Tajniki wywiadów gabinetów i wydarzeń XX wieku

MAREK T. EMER

CZY WYROK na hr. Ciano WYDAŁA EDDA CIANO

Następnego dnia akcja przebiegała już od rana ściśle z planem. Przed godziną ósmą zgłosił się Gröbl z dwoma specjalnie zakupionymi luksusowymi samochodami — Packardem i Chevroletem. Samochody zaopatrzone były we włoskie znaki rejestracyjne, a za kierownicami siedzieli agenci wyposażeni w oryginalne włoskie prawa jazdy.

Dom, w którym trzymany był pod aresztem Ciano, składał się z szeregu luksusowych apartamentów zamieszkanych przez różnych dostojników rządu Badoglio i dlatego lśniący Packard nie mógł budzić podejrzeń. Ciano, szczelnie otulony płaszczem, korzystając z faktu, że pilnujący go karabinierzy z ogromnym zainteresowaniem patrzą w przeciwną stronę, szybko zajął miejsce w samochodzie. W ten sposób ucieczka jego wykryta została oficjalnie dopiero następnego dnia.

Jeszcze łatwiej poszła sprawa z Eddą i jej dziećmi. Wsiadła ona do Chevroletu przy bramie ogrodu, po którym odbywała spacer. Pilnujący ją detektyw spoglądał spokojnie w błękit, dumając zapewne, jaki użytek zrobi z funtów, które mu spadły z nieba...

Oba samochody szybko osiągnęły polowe lotnisko, na którym cała rodzina przesiadła się do specjalnie przygotowanego dla Höttla transportowca Ju-52. Motory już grały...

Jak się okazało w samolocie, torba z brylantami, którą Höttl lojalnie wręczył Ciano po otworzeniu pieczęci, nie była jedynym skarbem szmuglowanym przez zaradnego eks-ministra. Na ramieniu jego córki wisiała nieco mniejsza torba z podobną zawartością, a i kieszenie hrabiego też nie były puste.

Po przybyciu do Niemiec Ciano-wie umieszczeni zostali w wykwintnej willi w Oberallmannshausen nad jeziorem Starnbergsee. Opiekę nad nimi roztaczał Höttl, który stał się wkrótce zaufanym majordomusem.

Podczas wspólnego i beztroskiego pobytu Höttl przekonał się, że pod misterną frazeologią Ciano kryła się brutalna i niepospolita żądza władzy i pieniędzy. Nie zdziwił się więc, gdy pewnego dnia Ciano, świadom kresu swej oficjalnej politycznej kariery, złożył mu zaskakującą, jak na człowieka o takiej przeszłości, propozycję:

— Pan wie, doktorze, że z okresu gdy byłem ministrem spraw zagranicznych, pozostały mi liczne i bardzo intymne stosunki z szeregiem wpływowych ludzi w kołach politycznych i handlowych wielu krajów Ameryki Południowej. Gdybym znalazł się, powiedzmy, w Argentynie, podjąłbym się zmontować silną organizację, która za pomocą fałszywych funtów szterlingów byłaby w stanie wpływać na politykę wielu krajów Ameryki Południowej w ich stosunku do Niemiec.

Był to projekt, który należało starannie rozważyć.

Höttl udał się więc natychmiast do Kaltenbrunnera. Szef RSHA przyjął tę propozycję niemal entuzjastycznie. Postawił tylko jedno żądanie — Ciano musi oddać swoje pamiętniki, w których przytaczał dokumenty kompromitujące wszystkich czołowych dygnitarzy osi z Hitlerem, Mussolinim i Ribbentroppem na czele. O istnieniu tych pamiętników SD miało dokładne i sprawdzone informacje.

Do Oberallmannshausen powrócił Höttl z fałszywymi paszportami urugwajskimi dla całej rodziny Ciano. Zażądał jednak kategorycznie, aby do momentu wyjazdu cała operacja zachowana była w absolutnej tajemnicy przed wszystkimi, nie wyłączając... małżonki hrabiego. Ciano nie dotrzymał jednak tajemnicy.

Gdy 20 września Edda zaproszona przez Hitlera znalazła się w jego Głównej Kwaterze, poprosiła führera o zezwolenie na wymianę siedmiu milionów lirów na pesety hiszpańskie. Na zdziwienie wyrażone przez Hitlera, oświadczyła wprost:

— Pragniemy wyjechać do Ameryki Południowej, gdzie małżonek mój będzie mógł spokojnie zakończyć pisanie pamiętników, które ukażą go światu we właściwym świetle.

Tego było stanowczo za wiele. Hitler pożegnał Eddę bardzo ozięble.

Kaltenbrunner jeszcze w tym samym dniu otrzymał z Głównej Kwatery depeszę, która podziałała na niego jak kubeł zimnej wody. O wyjeździe Ciano nie mogło być już mowy...

Tymczasem rozpoczęli działać osobiści wrogowie Ciano z Bormannem na czele. Po kilku dniach Ciano otrzymał zaproszenie od Mussoliniego, który w międzyczasie z łaski Hitlera restytuował swe rządy w północnych Włoszech. Po wylądowaniu na lotnisku koło Verony, Ciano został natychmiast aresztowany z polecenia swego teścia i osadzony w więzieniu. Opuszczał je tylko pod silnym konwojem, doprowadzany codziennie na proces o zdradę Mussoliniego.

Höttl mimo wszystko nadal nie tracił nadziei. Nęcąca perspektywa posiadania przez wydział zagraniczny SD agenta w osobie Ciano nie dawała mu spokoju.

Zabiegami i staraniami swymi zdołał zjednać samego Himmlera. Ten, za cenę uzyskania pamiętników Ciano, zgodził się na porwanie hrabiego i wydał nawet rozkaz szefowi gestapo we Włoszech, aby niezwłocznie ułatwił mu wyjazd do Hiszpanii.

Ciano pomimo wyczerpującego go nerwowo procesu, dzięki systematycznym informacjom uzyskiwanym od Höttla, był pełen najlepszych myśli. W celi więziennej opracował nawet plan wstępnych działań agenturalnych w Ameryce Południowej i zapotrzebował na ten cel niemałą sumkę 50 milionów funtów szterlingów. Oczywiście sfałszowanych.

W ostatniej chwili jednak Himmler w obawie przed Hitlerem wycofał się z całego przedsięwzięcia. Dla Ciano było to fatalne w skutkach.

Rankiem 7 stycznia 1944 roku salwa karabinierów przecięła życie niedoszłego agenta SD w Ameryce Południowej.

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka", Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł. kwartalnie 12 zł. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch", Łódź, ul. Roosevelta 17, konto PKO — Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem „na „Odgłosy", Druk „Prasa", Łódź, Żwirki 17. Zam. 1118. IV. 58. M-4.

KSIĄŻKI dla naszego czytelnika

Człowiek bez paszportu

Za czasów carskich popularne było w Rosji powiedzenie, że „człowiek składa się z ciała, duszy i paszportu". Walor tego powiedzenia przeżył Rosję carską i przekroczył granice jednego kraju, o czym dosadnie przekonał się pewien marynarz amerykański — bohater powieści Brunona Travena — „Statek śmierci" *). Marynarz zahulał się w porcie Antwerpii, przegapił odpłynięcie swego statku i pozostał na obcym lądzie bez grosza w kieszeni i bez dokumentów.

Właśnie ten brak dokumentów stał się przyczyną długiej i ciężkiej odyssei, zakończonej służbą na jednym, a potem na drugim „statku śmierci". Że uszedł z życiem z tych fatalnych opresji, mógł to zawdzięczać nie tyle sobie, ile szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Trzeba bowiem wyjaśnić, że „statki śmierci" są to stare, zdezelowane pudła, przeznaczone przez armatorów na zagładę z czym łączy się premia ubezpieczeniowa. Dopóki to możliwe i — opłacalne, taki statek służy do celów przemytniczych itp. ciemnych machinacji. Gdy już ostatecznie wysłużył swoje, kapitan na poufne zlecenie właścicieli — inscenizuje „nieszczęśliwy wypadek" i puszcza statek na dno morskie. Jeśli przy tym giną ludzie z załogi (ci „nie wtajemniczeni"), nikogo o to głowa nie boli.

Rzecz jasna, że warunki pracy na „statkach śmierci" są istną katorgą — i godzą się na nie tylko różni desperaci, wykolejeńcy, nędzarze — ludzie bez nazwiska i przynależności państwowej, zagrożeni śmiercią głodową. W takiej sytuacji znalazł się bohater powieści Travena, a dramatyzm przygody tego marynarza dał autorowi doskonałą okazję do zdemaskowania i napiętnowania ohydnych kombinacji, stanowiących rację bytu i działalności „statków śmierci". Przez usta marynarza — narratora Traven — bez patetycznych uniesień, z chłodnym, zabójczym sarkazmem — rozdaje zasłużone ciosy akcjonariuszom towarzystw okrętowych, ich uległym, a dobrze wynagradzanym mandatariuszom — kapitanom „statków śmierci", przekupnym inspektorom portowym i wreszcie — biurokratom amerykańskiego i europejskiego pochodzenia, dla których człowiek bez paszportu jest tworem (czy potworem) nie zasługującym na istnienie, nie godnym uwagi, opieki i życzliwości władz.

W swej powieści, której akcja toczy się parę lat po pierwszej wojnie światowej, Traven odsłania pewien fragmencik mechanizmu kapitalistycznego świata, udowadniając m. in., że ludzie bez paszportu mogą jednak uniknąć nieszczęść i katastrof, ale tylko wtedy, gdy mają pieniądze. Im więcej mają pieniędzy, tym przychylniejszy dla nich staje się świat. Znakomita i wielce pouczająca jest scena w konsulacie USA w Paryżu, do którego zgłaszają się jednocześnie dwie osoby z prośbą o wydanie — w zamian zagubionych — nowych dokumentów: żona nowojorskiego bankiera i nasz nieszczęśliwy marynarz. Obwieszona klejnotami bankierowa otrzymuje paszport w ciągu paru godzin, wśród czołobitnych ukłonów uczestników konsulatu, zaś obdarty i głodny marynarz — po wysłuchaniu „umoralniającego" kazania p. konsula — odchodzi z kwitkiem na dalszą tułaczkę.

Bruno Traven — pisarz meksykański — jest autorem w Polsce dość znanym. Po wojnie — prócz „Statku śmierci" przetłumaczono u nas jego powieści: „W jarzmie", „Jarmark", „La Carrela". Podobnie jak w „Statku śmierci" u podstaw egzotycznej fabuły wszystkich tych utworów leży i ton im nadaje postępowy i humanistyczny pogląd na świat, określający głębszą i trwalszą wartość twórczości Travena.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

*) Bruno Traven „Statek śmierci". Tłumaczył Antoni Sliwiński — Warszawa, „Czytelnik", 1958, str. 424, Cena zł 21.

Burzliwe życie...

Motto:

„Czy ja jestem winien? Jeżeli już czymś zawiniłem, to chyba tylko tym, że żyję. Ale i temu też nie ja jestem winien. Winne temu są śmieszne zabobony i okropna cholera."

(Z przemówienia przed sądem osk. Lejzorka Rojtszwanca.)

Gdyby Franz Kafka:

1) nie cierpiał na neurastenię,
2) dodał do niewątpliwego talentu drugie tyle poczucia humoru — to by Franz Kafka napisał rzecz, pod tytułem „Burnaja Żizń Łazika Rojtszwanieca".

Stało się jednak inaczej — i dobrze, bo literatura na tym nie ucierpiała.

„Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwańca" skończył Erenburg w październiku 1927 r. Jeśli przyjmiemy dla równego rachunku, że ostatnia w Polsce, przedwojenna edycja tej książki nosiła datę 1937 — to łatwo będziemy mogli obliczyć, ile lat trwała banicja „Lejzorka", wygnanie z gabinetów wydawnictw, drukarni, witryn księgarskich i bibliotecznych regałów. Dwadzieścia lat — to dużo. Bardzo dużo dla obu pokoleń: dla tego, które milczało i tego, które nie zadawało pytań.

W ciągu 20 lat ojcowie zapominają, a synowie — dorastając nie wiedzą.

A potem przychodzi śmieszny, niesłychany Lejzorek — nowiutkie piękne wydanie A D 1957 — pochłaniamy 282,5 strony wyraźnego druku... i spotykamy się wzrokiem, z jednakowym zażenowaniem na twarzach. Jak to mówią Francuzi? C'est la vie? Tak, tak — życie.

Niedawno czytałem prozę Borysa Pilniaka. To była czwarta z kolei, poznana przeze mnie pozycja. Ekshumacja, rzecz nienowa i nie od „Lejzorka" zaczęta — ale... „...gdy klucz natrafia na swoją dziurkę, można pić wino po dwa ruble za butelkę i śmiać się tak, jak się śmieją tylko same anioły". Sądzę, że prawda wypowiedziana w Homlu, w okolicznościach specyficznych, może mieć zastosowanie szersze, kilkadziesiąt lat później i nawet Zupełnie Gdzie Indziej. Przypuszczalnie, mam rację „na 30 procent". Słowo honoru, że tyle racji wystarczy mi do końca życia.

Aha, jeszcze jedno: śmiejąc się — rycząc ze śmiechu nad każdym niemal zdaniem „Burzliwego życia" — nie myślcie o Chaplinie, ani o Gelsominie, o niczym takim. Tym razem, „drugie dno" śmiechu może was znacznie więcej kosztować. Ostatecznie, układ krwionośny powinien funkcjonować regularnie — a wszelkich, nadprogramowych skurczów należy się wystrzegać.

ANDRZEJ JORK

Ilia Erenburg „Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwanca", tł. Maria Popowska. Wyd. Czytelnik, 1957, str. 287.

Obcy

„Obcy" jest niewątpliwie najlepszą z przyswojonych językowi polskiemu powieści Alberta Camus'a. Świetny tok narracyjny „Upadku" przytłoczony jest tezą i od tej tezy czytelnik nie znajduje ani na chwilę ucieczki. Podobnie rzecz ma się z „Dżumą". Pracowity czytelnik może z niejaką łatwością, zakreślając odpowiednie partie tej książki, ułożyć na swój użytek małą antologię wypowiedzi o filozofii egzystencjalizmu. Napisany przed „Dżumą" i przed „Upadkiem" „Obcy", stanowiący pierwszy tytuł do sławy dzisiejszego laureata Nagrody Nobla, nie jest natomiast ani traktatem, ani esejem. Oczywiście można tę powieść odczytać jako rzecz, która podobnie jak „Dżuma" oparta jest na tzw. wielkiej metaforze. Takie traktowanie „Obcego" nie wydaje się jednak być zabiegiem koniecznym.

Oto opowieść o człowieku, który pracował w biurze i lubił się kąpać, jadł śniadania, obiady, kolacje, miał kochankę i z niechęcią myślał o przeniesieniu się do dużego miasta. Opowieść o człowieku, który zasnął, czuwając w nocy przy trumnie ze zwłokami swojej matki, a potem poszedł do kina na wesoły film z Fernandelem w roli głównej i do łóżka z dziewczyną. Następnie zabił innego człowieka, ponieważ przypadkowo miał rewolwer w kieszeni i ponieważ było bardzo gorąco i słońce stało w zenicie. Za czyn ten został skazany na karę śmierci przez ludzi, którzy nie byli od niego lepsi, ale także nie byli i gorsi. Oto opowieść o jednym z nas, który ośmielił się być takim, jakim był naprawdę. Ośmielił się? Naprawdę, trudno przypisać bohaterowi „Obcego" cnotę odwagi. On po prostu był taki i nie uważał za stosowny i konieczny zabieg maskowania swych uczuć (czy raczej — braku uczuć), jak to robili jego sędziowie.

Czym jest „Obcy"? Prezentacją postawy, zwanej w naszym kraju „chuligańską"? Czy też prezentacją zalążkowych form nowej psychiki, kształtującej się w dwudziestym wieku? Oskarżeniem społeczeństwa skazującego bezprawnie — jako że trudno skazywać prawnie na karę śmierci kogoś, kto nie kochał swojej matki i komu było gorąco — jednego ze swoich członków? Czy oskarżeniem czytelnika? Na te pytania zechce odpowiedzieć on sam, czytelnik.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Camus Albert „Obcy", tł. Maria Zenowicz, Wyd. PIW 1958, str. 119.

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE

W ruinach starego opactwa w Sulejowie zmarł nagle H. Pronobis, sędziwy zbieracz ekslibrysów. Przyjaciele jego — poeta, mistrz Nataniel i publicysta Tomasz — sądzą, że Pronobis został zamordowany. Podejrzewają o morderstwo dwóch tajemniczych „białych mnichów", piękną kobietę zwaną „Czarna Milady" i jej przyjaciół — Bacha i Szczurka oraz Szefa, dowódcę jakiejś bandy. Powodem morderstwa była prawdopodobnie chęć wydarcia Pronobisowi testamentu szlachcica Baldaricha-Bałdrzycha, który ukrył swe skarby.

Nataniel i Tomasz znajdują przypadkiem kartkę, która najpierw każe im jechać do starego dworu w Łękach, gdzie podsłuchują rozmowę członków bandy — Bacha i Szczurka. Kartka ta każe im również udać się do pałacu w Borowie. W międzyczasie Tomasz, podróżując swym samochodem podczas zawiei śnieżnej, zabiera po drodze jakąś okutaną w chustkę kobietę, która okazuje się... „Czarną Milady".

Śnieg padał i padał. Wiatr ze śniegiem zacinał w twarze, chlastał po policzkach. Milady oczywiście kłamała wysuwając zastrzeżenia w rodzaju: „Jeśli się nie mylę", „O ile pamiętam". Doskonale wiedziała, że młyn jest stąd o 500 kroków, że na parterze jest izba z piecem. Ba, zauważyłem, że ktoś niedawno palił w piecu podłogą, była ona bowiem w jednym miejscu wyrwana. Kto wie, czy nie tutaj nocowała banda tajemniczego Szefa, a wraz z nimi i Czarna Milady?

Noc już stała, gdy rozkopawszy nieco zaspy (szuflę, siekierę i inne narzędzia woziłem zawsze w kufrze z tyłu samochodu), wprowadziłem samochód bardziej w las. Nie lękałem się, że mi go ukradną (niechby próbowali przedostać się przez zaspy). Zabezpieczywszy go przyniosłem do młyna siekierę, koce, którymi miałem w wozie okryte siedzenia i porąbałem kilka desek z podłogi.

Młyn był mocno zdezelowany. Drugie piętro zapadło się na pierwsze. Ocalały parter i część pierwszego, bo zbudowano je z cegieł. Z zewnątrz wyglądał jak wielka, zgnieciona skrzynka albo jak jeż z wystającymi na wszystkie strony kolcami połamanych belek i krokwi. Ale na parterze kilka pomieszczeń przedstawiało się zupełnie znośnie. Sufity podpierały jeszcze zdrowe bale drewniane, pod ścianami stały potłuczone skrzynie na mąkę, wszędzie leżała gruba warstwa zjedzonego przez pleśń czarnego prochu — resztki starej mąki. Izba, gdzie znajdował się piec, służyła kiedyś jako piekarnia i dla pieczenia chleba zbudowany został piec. Trochę zburzony, jak duży potwór ział na izbę otwartą, czarną paszczęką. W paszczęce rozpaliłem ognisko, okienko z wybitą szybą zastawiliśmy od wiatru pokrywą skrzyni, inną skrzynię przyciągnęliśmy pod piec. Kucnęliśmy na niej jak kury na grzędzie, owinęliśmy się w koce.

— Ciekawa jestem jak panu na imię, kim pan jest, jaki pana zawód? — zaczęła rozmowę Czarna Milady.

Spodziewałem się takich pytań. Odparłem bez namysłu:

— Na imię mi Tomasz. Z zawodu: inżynier rolnik (zawsze marzyłem, żeby być rolnikiem). — Prywatnie jednak interesuje mnie: czarnoksięstwo, magnetyzm, gesneryzm...

Roześmiała się. Udałem obrażonego.

— No, jeśli panią śmieszą moje zainteresowania...

— Nie, nie. Ale chyba sam pan przyzna, że są trochę dziwne. Czy nie mógłby mi pan wyjaśnić, co to jest gesneryzm?

—To taki prąd w literaturze. Od nazwiska Gesnera, niemieckiego sielankopisarza.

— Pan lubi sielanki?

— Pasjami. Marzę, aby napisać sielankę — powieść, w której wszystko byłoby inaczej niż w życiu. Każdy miałby prawo żyć tak, jak chce, a to co nienawidzi, nienawidzieć. Jeden zbierałby zdjęcia podkasanych panienek i nie musiałby się z tym ukrywać, inny nalepiałby na swoich książkach ekslibrysy i nikt by go za to nie zaszczuwał na śmierć. Byłby w tej powieści dziennikarz, którego nie zmuszano by do uprawiania polemik, ale pisałby o architekturze i o czarnoksiężnikach. Nie byłoby w tej książce zakazanych poetów, lecz każdy dobry poeta cieszyłby się szacunkiem.

— Tak, inaczej niż w życiu — westchnęła Milady. — A w dziedzinie czarnoksięstwa ma pan duże sukcesy?

Odpowiedziałem z pełną powagą:

— Owszem, nawet duże.

— To proszę zrobić swoje czary-mary i powiedzieć coś o mnie.

— Z prawdziwą przyjemnością. Umie to robić każdy początkujący czarnoksiężnik. A jeszcze w tak doskonałych warunkach...

Rzeczywiście, warunki do czarów były wspaniałe. Na dworze buszowała zawieja śnieżna, za oknem zastawionym deskami gwizdał wiatr. Trzy czwarte izby pławiło się w mroku i tylko od ogniska w piecu rozchodził się krąg ciepła i światła. Trzaskały iskrami czerwone polana, skakały języki ognia. Dokoła młyna trwał las, wielki i pusty...

Ująłem w swe ręce dłoń Milady, rozchyliłem jej palce, spojrzałem na wnętrze dłoni poważny jak wróżbita. Mówiłem wolno, patrząc w ogień:

— Nie znam twojego imienia, wiem jednak, że jesteś bardzo piękna. Lat masz dwadzieścia siedem. Urodziłaś się w bogatym domu, byłaś kiedyś bardzo bogata. Lecz nadszedł dzień, gdy całe bogactwo zostało ci odebrane... Nie wiem, czy kochałaś swego męża, lecz wiadomym mi jest, że był on w twym życiu, że rozdzieliła was wielka tragedia, że go już nie ma między żywymi...

— Skąd pan to wie? — szepnęła niespokojna.

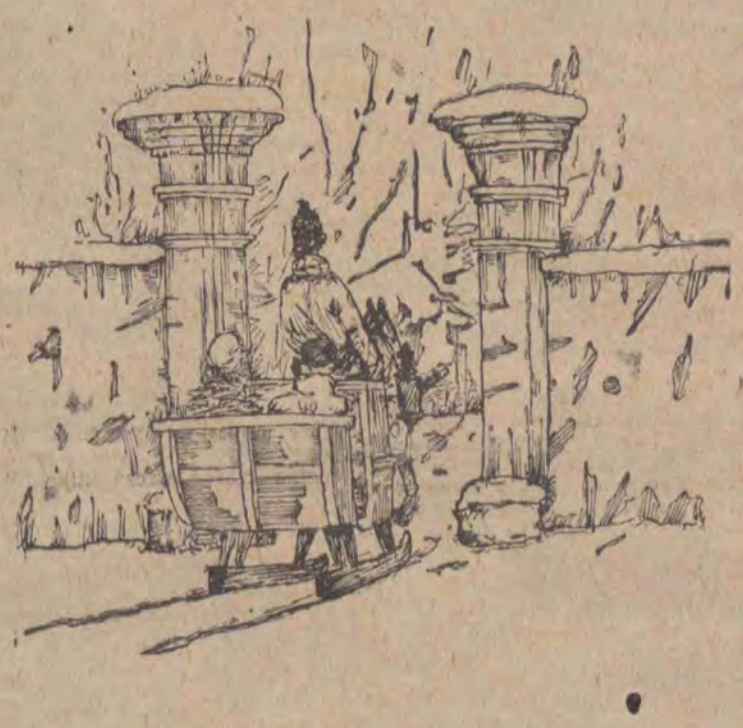

— Proszę mi nie przeszkadzać, nie przerywać... Interesowały cię zawsze rzeczy piękne i wzniosłe, kochasz i szanujesz tylko piękno. Jesteś z gruntu uczciwa, ale to co czynisz, czym się zajmujesz... nie jest uczciwe.

Chciała mi wyrwać swą dłoń. Przytrzymałem ją silniej. Mówiłem dalej:

— Kochasz piękno, a przecież obcujesz z ludźmi, którym daleko do piękna. Jest tych ludzi trzech, jeden z nich najsprytniejszy, najgorszy, zły bardzo — strzeż się go! To on chce cię mieć za żonę, ale go odtrącasz ze wstrętem. Jesteś samotna, nauczona jednak gorzkim doświadczeniem pragniesz związać się tylko z człowiekiem szlachetnym. Nie jesteś podlotkiem i wiesz dobrze, że życie jest trudne, pełne goryczy, szczególnie dla takich jak ty. Przestałaś wierzyć, że są ludzie dobrzy, szlachetni, dlatego zgodziłaś się zawrzeć sojusz ze złem.

Lecz powiada Ajschylos w „Orestesie":

„Najgorsze plony daje ze złymi przymierze.
Nie warto go zawierać. Najczęściej utonie
Mąż zbożny, gdy na okręt siadł w bezbożnym gronie
Żeglarzy — zginie razem z tą przeklętą rzeszą".

— Powiadam ci raz jeszcze: strzeż się trójki swych przyjaciół i tego spośród nich, który cię chce mieć za żonę. Nie szukaj skarbów, bo nie one dają szczęście...

Wyrwała mi rękę. Była jak rozzłoszczona łasica. W oczach jej widziałem lęk, podejrzenie, nienawiść, niedowierzanie.

— Kim pan jest właściwie? — syknęła „Bezpieczniakiem", szpiclem, czarnoksiężnikiem?

Przesiadłem się na skraj skrzyni tak, żeby mieć twarz w ciemności. Tam w karczmie Winodaj także siedziałem w półmroku. Nie na pewno nie zapamiętała wtedy moich rysów.

Milady rozmyślała półgłosem:

— Od kilku tygodni prześladuje mnie ktoś nieznany mi, ale chyba bardzo niebezpieczny. Nie wiem, może to pan? Pan ma jednak „Opla", a tamten nowego „Cadillaca"...

Nie zareagowałem ani słowem. Wstałem ze skrzyni i zabrałem się do rąbania podłogi. Chciałem przygotować zapas drzewa już na całą noc.

— Czy i pan także jedzie do Przeklętnika? — zawołała przekrzykując uderzenia siekiery.

Przerwałem robotę.

— Także? To znaczy, że pani jedzie do Przeklętnika. Bo ja... do Sulejowa.

Zacisnęła usta w nowym ataku złości. Kiedy jednak ułożyłem pod piecem kawałki desek i zasiadłem z powrotem przy ognisku, powiedziała spokojnie:

— Pan nie jest inżynierem. A w każdym razie nie rolnikiem. Wygląda pan raczej na... dziennikarza.

Zdębiałem. Co u licha? Może teraz ona zacznie mi wróżyć i bawić się ze mną w „ciuciubabkę"?

Pogardliwie machnąłem ręką:

— Dziennikarzem? Przenigdy, zacna niewiasto.

— No! — mruknęła ostrzegawczo.

— Nie znam wstrętniejszego zawodu niż dziennikarstwo. Każdy dziennikarz to hochsztapler, sprzedawczyk i szantażysta gotowy obsmarować najlepszego przyjaciela, byle mu za to zapłacili. Cztery są naczelne obowiązki dziennikarza: demaskować, mobilizować, wychowywać i pomagać. Czy może być coś bardziej bezsensownego, upokarzającego? Dziennikarze to nieuki, dyletanci, albo skwaszeni albo znowu entuzjazmujący się byle „g".

— Ale ma pan coś wspólnego z pisaniem, z literaturą?

— Powiedziałem: magnetyzm, gesneryzm, czarnoksięstwo.

— Chyba się z panem nie dogadam.

— I ja tak sądzę — zareplikowałem, przypomniawszy sobie, że jest przecież członkiem jakiejś niebezpiecznej bandy. To może ona zamordowała Herakliusza Pronobisa, mojego serdecznego przyjaciela? Zamordowała go, żeby wykraść testament Baldaricha-Bałdrzycha i zdobyć jego skarby. Jest więc zbrodniarką. A ja tu towarzyską rozmówkę z nią prowadzę, zamiast... Zamiast co? Co z nią mam robić? Uderzyć? Zabić, poddać torturom? Bzdura. Więc co? Aresztować? Nie mam prawa, a poza tym również brakuje dowodów jej winy.

Milady wyczuła nagłą zmianę mego nastroju. Przypisała ją jednak swej natarczywej ciekawości i przestała się wypytywać. Przykucnęła koło ognia, a ponieważ biło od niego gorąco, zaś od tyłu ciągnął okropny ziąb, zdjęła futro, chustkę i tylko narzuciła je na ramiona. Była w czarnych spodniach o bardzo obcisłych nogawkach. Doskonale zaznaczały się w nich jej długie nogi, które trzymała lekko rozchylone. Kolana ma jak jabłka Atalanty — przypomniałem sobie zdanie współczesnego poety.

— Gdybym był reżyserem filmowym — odezwałem się — zrobiłbym film, a pani grałaby w nim rolę kobiety złej, okrutnej, mściwej, dla zdobycia bogactwa popełniającej zabójstwo bezbronnego staruszka...

— Ani zła, ani mściwa, ani okrutna. Nie potrafiłabym nikogo zabić, choć czasem tak bardzo bym chciała — powiedziała.

Począłem dokładać do pieca. A gdy potem spojrzałem na nią — Milady siedziała już nieco dalej wsparta o ścianę. Owinięta w w koc, futro i chustkę —drzemała.

A może udawała, że drzemie?...

* * *

Obudziło mnie zimno. Poprzez deski na oknie spływał świt, z wygasłego pieca cuchnęło spalenizną. Milady przy mnie nie było. Tylko w miejscu, gdzie siedziała, leżała karteczka.

„Przepraszam, że odeszłam bez pożegnania, ale nie chciałam mącić pięknych snów człowieka s p r a w i e d l i w e g o (to było podkreślone). **Radzę przestać bawić się w czarnoksięstwo. To może Pana zbyt drogo kosztować".**

CZĘŚĆ DRUGA

PAMIĘTNIK Z BOROWA

15 STYCZNIA

Od stacji kolejowej w Bednarach przywieziono nas do Borowa małymi sankami zaprzężonymi w dwa cugowe konie. Brzęczały dzwonki, konie buchały parą, bo mróz trzymał krzepko, pod płozami skrzypiał śnieg. Daleki odblask zachodu okrywał nas jak purpurową delią...

Borów okazał się wielką rezydencją magnacką ze wspaniałym pałacem w stylu barokowym, z ogromnym parkiem i stawami. Zbudowano go w latach 1690—96 według projektu najznakomitszego wówczas architekta działającego w Polsce — Tylmana z Gamern, a właścicielem pałacu był prymas Michał Radziejowski. Później Borów należał do Towińskich, Lubomirskich, Łochockich, Ogińskich, aż wreszcie przeszedł w ręce Radziwiłłów, z których Michał Hieronim, wojewoda wieluński, uczynił Borów w 1774 roku jedną ze wspanialszych i bogatszych rezydencji wieku XVIII. Teraz pierwsze piętro pałacu borowskiego przeznaczono na muzeum, zachowując dawne pokoje magnackie pełne starych mebli — unikatów, drogocennych obrazów i bezcennej porcelany. Parter zaś i drugie piętro stały się pomieszczeniem dla nielicznych i wybranych gości spośród intelektualistów, pisarzy, artystów, naukowców, którzy przyjeżdżali tutaj, aby pracować w zupełnym spokoju.

Dla Nataniela zarezerwowano piękny pokój na parterze we wschodniej wieży, a dla mnie na drugim piętrze w mansardzie od strony dziedzińca, prawie naprzeciw bramy wjazdowej.

Zdążyłem zaledwie rozpakować walizkę i rozstawić książki na szerokim rozkładanym stole, umyć twarz i ręce zbrukane w czasie podróży — a już uderzył gong wzywający na kolację. Wedle borowskiego rytuału — z którym mistrz zaznajomił mnie w drodze — należało zejść na parter do palarni, a stąd (gdy wszyscy goście byli zebrani) przechodziło się bezpośrednio do sąsiadującej z nią jadalni.

W palarni zastałem Nataniela spacerującego drobnymi krokami i zerkającego po zawieszonych na ścianach obrazach. Skórzane fotele przy okrągłym stoliku zajmowały dwie panie — jedna bardzo młoda, druga podstarzała, w wielkich rogowych okularach. Mistrz zachował się ze sztuczną galanterią, co u niego było zawsze oznaką złośliwego zadowolenia.

— Kochane panie — uczynił ukłon w ich kierunku — pozwólcie, że przedstawię wam mojego przyjaciela, Tomasza, publicystę poczytnej i komunikatywnej gazety „Bibliofil Polski".

— Tomaszu — wyrzekł — oto jest Pani z Wydawnictwa.

— Tomaszu, oto jest Panienka z Wydawnictwa. Proszę cię bądź da niej niezwykle uprzejmy, przez nią ostatnio nie ukazał się tomik mych najlepszych wierszy.

— Och, mistrzu!... — jęknęła Panienka, patrząc mu w oczy z uwielbieniem.

Było to brzydkie i dziwnie kostropate stworzenie, niechlujnie uczesane, z pociągłą twarzą o garbatym nosie, z bardzo szpiczastymi piersiami. Gdy mistrz mówił o niej, na znak szacunku podniosła się z fotela i stojąc tuż przy Natanielu śmiesznie wierciła kuperkiem. A mistrz tak jakoś dziwnie manipulował rękami wokół jej starannie odznaczających się na swetrze szpiczastych kształtów, że z przerażeniem oczekiwałem — mistrz wreszcie uchwyci za sam czubeczek, pokręci trochę i urwie.

— Uff! — odetchnąłem z ulgą, bo Panienka wydawszy znowu jęk uwielbienia, nareszcie klapnęła na fotel.

Pani z Wydawnictwa zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głowy, potem zabasowała przepitym głosem:

(d. c. n.)

Co się stanie w Borowie?

Czy Tomasz i Nataniel natkną się na Szefa i Czarną Milady?

— czytaj w następnym numerze.

cha! cha!

Chaval albo KRAINA NONSENSU

Jest taka stara angielska anegdotka:

Przyjaciel spotyka przyjaciela i widzi, że tamten rozsypuje na środku jezdni jakiś biały proszek. — Co robisz? — pyta pierwszy Anglik. — Sypię proszek. — Po co? — To proszek na lwy. — Głupcze, przecież w Londynie nie ma lwów! — Nic nie szkodzi — odpowiada drugi — ten proszek i tak jest nic niewart...

Typowo brytyjski dowcip — opowiada o zwierzętach i posiada absurdalną, nonsensowną pointę. To najbardziej ulubiony przez Anglików gatunek żartu. Znamy wiele podobnych dowcipów, o mądrych psach, o koniach, które piją wódkę i grają na puzonie itp.

Co ma jednak angielski humor — do twórczości znanego francuskiego rysownika — Chavala? Ano, spójrzcie dokładnie na załączone rysuneczki... Dziwne, ale pozostaje faktem, że humor Chavala ma aż tyle wspólnych cech z dowcipami Brytyjczyków. Czyż Chavalowska historyjka o lwie na strychu nie przypomina cytowanej na wstępie anegdoty?

Niektórzy rysownicy uzyskują absurdalny efekt poprzez ukazywanie sytuacji, gdzie prawa przyrody zostają w jakiś sposób zachwiane (klasyczny przykład: silny wicher w y g i n a snop światła z latarni morskiej). Chaval rzadko posuwa się aż tak daleko, na ogół nie przekracza granicy n i e m o ż l i w o ś c i, podaje najczęściej sytuacje tylko n i e p r a w d o p o d o b n e.

I tylko sytuacja, zabawna sytuacja interesuje Chavala. Dlatego prawie nigdy nie potrzebuje w swych rysunkach uzupełnień tekstowych, podpisów. Sytuacja, nie charaktery ludzkie: zwróćcie uwagę, jak ogromnie podobni do siebie są bohaterowie tych rysuneczków...

Bardzo trudno było dokonać w y b o r u prac Chavala. To chyba najpłodniejszy spośród rysowników francuskich. Poza publikowaniem w czasopismach s e t e k dowcipów rocznie (m. in. w reprezentacyjnym magazynie tygodniowym „Paris-Match"), Chaval projektuje wiele żartobliwych rysunków reklamowych, także bardzo śmiesznych...

J. WEYCHERT

— Jestem bardzo zadowolony z sekretarza, którego pan mi polecił...

ZA TYDZIEŃ:
OTTO SOGLOW
albo uśmiech łagodny

WOJCIECH DRYGAS

Przeklęta wiosna

Opóźniony pociąg zatrzymywał się pod każdym semaforem — w przedziale panował tropikalny upał. Niestety, sprawa uchylenia okna utknęła na martwym punkcie. Sprzeciwił się temu kategorycznie starszy wiekiem chłop, cierpiący — jak oświadczył — na trzęsiączkę gastryczną. Obserwowałem więc z zazdrością apoplektycznego proboszcza, który, pomimo upału zdołał jednak chrapnąć smacznie pod tabliczką z napisem: „Nie przewozić materiałów wybuchowych, łatwopalnych...".

— Trzęsiączka gastryczna? — zainteresowałem się w pewnej chwili dolegliwościami sąsiada — chłopa. — Łamie pana?

— Nie łamie, tylko chwyta. O, tutaj! — złapał się oburącz za wystający brzuch. — Przeklęta wiosna!

— Wiosna jest piękna — sprostowałem z godnością.

Spojrzał na mnie z ukosa, trochę zakłopotany, pogładził dłonią głowę, jakby przypomniał coś sobie, a potem zaczął mówić:

— Pan pewnie kawaler, co? Bo ja jestem żonaty. I w domu czekają mnie porządki wiosenne. Zawsze byłem zdania, że nie żyje się po to, aby sprzątać, lecz sprząta się czasem, żeby jakoś żyć. Ale moja żona ma inną zasadę: nie sprząta się, aby jakoś żyć — warczy mi nad uchem — lecz żyje się po to, żeby stale sprzątać. W szczególności już na wiosnę. Wtedy bledną u nas w domu węzłowe, że tak powiem, zagadnienia polityki międzynarodowej. Bo dla mojej żony aktualną polityką na najwyższym szczeblu jest szorowanie okien. Kiedy ja gramolę się wysoko na parapet ze szczotką ryżową i proszkiem — ona dyryguje: „Uważaj, Ignac, cobyś szyby nie wytłukł!". Szyba głupstwo — wołam z góry — ważniejsze, żebym nie spadł i nie połamał nóg. W roczniku statystycznym podają, że największy procent mężczyzn ginie na wiosnę podczas mycia okien. Masowo zlatują z parapetów wskutek utracenia równowagi. Nie narażaj — ostrzegam żonę — naszej gospodarki narodowej na straty. Weź pod uwagę, że import mężów ze względu na ograniczenia dewizowe jest chwilowo nieaktualny. Ale czy taka baba, jak moja, rozumie się na dewizach? — machnął rozgoryczony dłonią. — Ona mówi tak: „Jak połamiesz kulasy — odwiozą cię do szpitala. Ale dokąd się udasz po nową szybę?" Faktycznie, proszę pana, po szybę — to nie wiem gdzie bym pojechał. Łatwiej chyba doprawić człowiekowi nową nogę. Przykłady? Proszę bardzo! Kiedy mój sąsiad Walęciak wytłukł szybę w oborze, to tak długo szukał nowej, aż w końcu zrozpaczony wyjął szybkę z telewizora. Teraz krowa ma ciepło i przytulnie, ale telewizor nie działa. Za dziewięć tysięcy złotych. Diabelnie droga szybka, co?

Pokiwał smętnie głową, a widząc, że nie domagam się dodatkowych wyjaśnień, ciągnął dalej:

— Co mi tam zresztą okna Walęciaka. Mam dość kłopotów z własnymi. Najlepiej byłoby sprawić sobie samochód. Miałbym wtedy sześć szyb na zapas z wycieraczką automatyczną do zgarniania deszczu. Luksusowo, wie pan? Tylko, że straszny koszt. W przeliczeniu — jedna szybka dwadzieścia patyków. Rozumie pan chyba teraz, skąd bierze mi się ta trzęsiączka gastryczna?

Umysł mam refleksyjny, lecz ciężka atmosfera przedziału nie sprzyjała dalszym rozważaniom. Złożyłem głowę na oparciu i zamknąłem oczy. Otworzyłem je dopiero gdzieś za Koluszkami. Zrazu nie widziałem w jakim celu — niebawem stało się dla mnie jasne, że to dwaj konduktorzy wypełniają mi uszy piekielnym wrzaskiem. Tknięty złym przeczuciem rozejrzałem się po przedziale: znikł gdzieś mój sąsiad — chłop, a w oknie, otwierającym czeluść w roziskrzoną gwiazdami noc — brakowało szyby. Silny prąd powietrza targał przerzedzony włos apoplektycznego proboszcza, który zastygł pod napisem: „Nie przewozić materiałów wybuchowych, łatwopalnych...".

— Milicja! — wysadzili głowy z przedziału kolejarze. — Milicja!!!

W jednej chwili wyłaszczono nas na peron jakiejś zapadłej stacyjki. Do komisariatu powędrowaliśmy w silnej obstawie.

— Panie — błagał mnie po drodze proboszcz — bądź pan człowiekiem! Oddaj im szybę!

— Skąd te podejrzenia? — zgrzytałem zębami. — Proszę mi nie imputować.

Na nic się zdały szczegółowe wyjaśnienia, na nic prośby i groźby. Komendant posterunku był człowiekiem stanowczym. Krzyczał i powtarzał w kółko, że ma głowę na właściwym miejscu i to właśnie upoważnia go do wysuwania własnych hipotez w sprawie każdej kradzieży, w szczególności zaś kolejowej. Wlepił nam słoną karę, którą uiściliśmy do spółki.

— Synu! — oświadczył mi na odchodne proboszcz. — Jako osoba duchowna zmuszony jestem odpuścić ci ten grzech śmiertelny, ale tam... — wyciągnął dłoń w stronę nieba — tam nigdy ci tego świństwa nie zapomną!

Odsunął się ode mnie, jak od parszywej owcy. Byłem kompletnie zdruzgotany.

Nazajutrz udałem się do lekarza. Zbadał mnie skrupulatnie, stwierdzając sensację w kiszkach, co utożsamił z tzw. trzęsiączką gastryczną.

Przeklęta wiosna! — mruczałem pod nosem, wręczając mu honorarium.

— *Tego urodziłam w epoce podróży międzyplanetarnych.*

LESZEK WITCZAK

Dyskusja filozoficzna

Do kawiarni o czwartej,
z chmurnym przyjdziemy licem,
znów zaczniemy od Sartre'a
i skończymy na N i c z e m,

PYSZNY JAK PAW

Na przyjęciu zwraca się do G. B. Shaw'a jakiś wyniosły arystokrata:

— Nie wyobrażam sobie, abym mógł wysnuć jakąś korzyść dla siebie po przeczytaniu pańskiej książki.

— Ja też nie — odpowiada ozięble dramaturg.

W ŚWIĘTO ODPOCZYNEK

Na zapytanie, dlaczego w niedziele nie wolno w Rzymie zawierać panienkom związku małżeńskiego (wdowom wolno było) cesarz August (63 p. n. e.) odpowiedział: — Przecież nie wypada w święto drążyć nowych kanałów.

Z. R.

— *No? Prawo Archimedesa...*

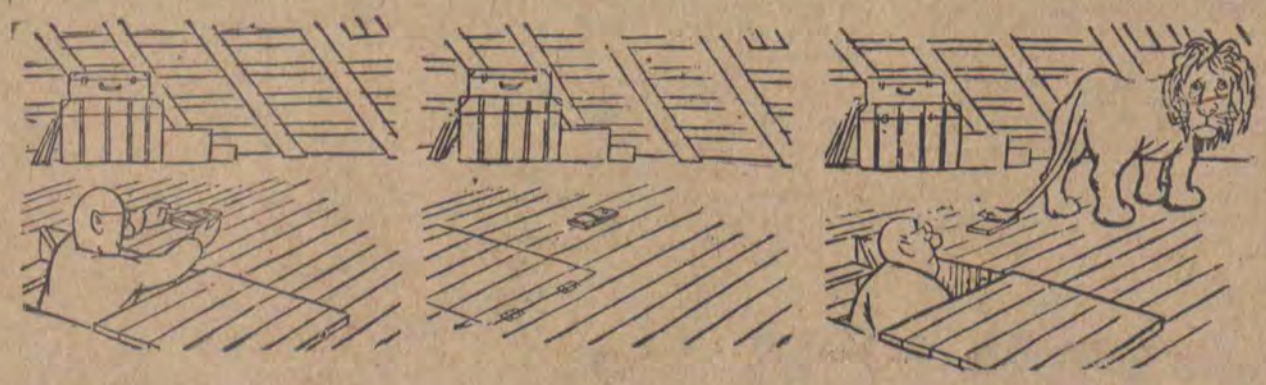

rys. Chaval

REPORTAŻ O BARWACH ZIEMI

NAPISAŁ ROBERT GLUTH

Zadano mi pytanie: czy pan przyjechał robić „czarny" reportaż? Zapytano tak — rzeczowo i spokojnie — nie dlatego, że ktoś się „bał", tylko dlatego, że chciano wiedzieć, co też takiego reportażystę interesuje.

W swoim czasie „czarny reportaż" — słowo na „nie" — wymagał odwagi. Wtedy spełniał swą rolę, ważną rolę społeczną. Pokazywał prawdy negatywne, bo właśnie one były zakryte — był rewolucyjny na tej zasadzie, na jakiej satyra, groteska, karykatura i paszkwil bywają, odzywał się co jakiś czas głośnym słowem rewolucji. Potem jednak trzeba było żyć — i żeby żyć: budować z wartości uzyskanych. Bo historia jest powolniejsza niż kaprysy. I znacznie solidniejsza.

Dziś, aby napisać „czarny reportaż" wystarczy trochę ignorancji, trochę pogardy dla ludzi, wiele egocentryzmu. To nie paradoks — to znak czasu.

W istocie rzeczy, w skupiskach ludzkich zawsze zdarzają się mniejsze i większe skandale, intrygi, przestępstwa... O wszystkim można pisać „czarne reportaże" — permanentnie. To w piśmiennictwie ma nawet nazwę: skandalopisarstwo — i, gdy jest dobrze napisane, przedstawia pewną wartość. Można mieć też ambicję dostrzeżenia czegoś więcej, bo i dzieje się więcej. Ziemia ma wiele barw.

Rozmawiałem z inżynierem, który dużo pracuje i ma prawo do zmęczenia — a jednak poświęcił mi więcej niż godzinę. Spotkałem górnika, który ciężko haruje „na chodniku" i też ma prawo do zmęczenia — a jednak bierze jeszcze trąbkę i jedzie z kolegami, żeby coś zagrać mieszkańcom Łeczycy.

Im dedykuję ten reportaż.

ILE TA RUDA MA LAT?

— Nasza ruda ma piętnaście milionów lat — mówi inżynier-geolog najzwyklejszym w świecie tonem, z odrobiną sentymentu. Mówi o rudzie, jak o spotkanej na ulicy znajomej, która liczy sobie 20 wiosen i jest na tyle interesująca, że można o niej beztrosko pogadać.

— W tym miejscu było morze — ciągnie inżynier — sól zawierająca żelazo, dokładniej, węglan żelaza, osadzała się powoli na dnie. Na lekcjach fizyki nauczyciele mówią o roztworach przesyconych; to właśnie podobna historia. W czasie regresji, gdy morze ustępowało, osad pozostał. Potem, w następnych okresach geologicznych, spiętrzały się kolejne warstwy mineralne i glebowe... A człowiek, najmłodsze stworzenie na świecie, zaczął wiercić w tych warstwach otwory; w czasie, który nazwał dwudziestym wiekiem nowej ery. Działo się to przed drugą wojną światową; szukano soli i nafty. Tamtych bogactw nie znaleziono: były jedynie złoża piasku lekko nasyconego ropą naftową, których eksploatację po dzień dzisiejszy uznaje się za nieopłacalną. Głębiej natomiast, w formacji jurajskich łupków, natrafiono na ślady przebiegu złóż żelazowych. Wówczas jednak nie zainteresowano się owym odkryciem.

DŁOŃ OLBRZYMA

Mówi inżynier - geolog: — Proszę sobie wyobrazić spory, niemal prostokątny pas ziemi, o szerokości 2,5 km. Pas ów należy umieścić na mapie powiatu łęczyckiego w ten sposób, aby południowo-zachodni róg prostokąta znalazł się blisko Łęczycy, a linia równoległa do zachodniego skraju pola powinna łączyć stolicę powiatu z miejscowością Mazew, położoną na północ od Łęczycy. Taki jest właśnie, w przybliżeniu, teren występowania złóż rudy żelaznej — syderytu.

Proszę teraz, z kolei, wyobrazić sobie gigantyczną łapę jakiegoś olbrzyma, zwróconą wierzchem do góry, a skierowaną zgiętymi palcami w stronę północy i nachyloną równocześnie, pod dość dużym kątem, w kierunku wschodnim. Taką olbrzymią dłonią są nasze pokłady jurajskiego żelaza, tworzące w dole obszar nierównoległy do powierzchni ziemi, wichrowaty, schodzący dwoma upadami: na wschód i na północ.

Oczywiście, dopiero niewielka część całego obszaru została zbadana i określona dokładnie. Częściowe badania pozostałego terenu pozwalają jednak sądzić, że mamy do czynienia z dużymi zapasami rudy, wystarczającymi prawdopodobnie na 150 lat dość forsownej eksploatacji.

Obecne wiercenia prowadzone są w miejscach, gdzie ruda zalega najpłyciej, dość blisko powierzchni ziemi. Łatwo można wywnioskować, że w takim miejscu znajduje się właśnie Łęczyca. Dalsze prace zaplanowane zostały w niezbyt szerokim pasie „grzbietowym", w kierunku upadu północnego. Różnice głębokości szybów na całym terenie eksploatacji będą znaczne. Dla przykładu: głębokość prac w pierwszej, produkcyjnej już kopalni wynosi 64 metry — natomiast w jednej z trzech pozostałych aktualnie budowanych kopalni ruda będzie wydobywana z poziomu ok. 100 metrów pod powierzchnią ziemi.

Czy więc zagłębie będzie opłacalną inwestycją — jeżeli, w dodatku, syderyt łęczycki nie jest rudą bogatą w żelazo?

Na pytanie dotyczące rentowności dają pozytywną odpowiedź ludzie, którzy wzięli na swoje barki ciężar pracy i odpowiedzialności za losy zagłębia. Posiadają oni wiele zapału i energii, a co ważniejsze — wiele rzetelnej wiedzy.

Opłacalność budowy zagłębia łęczyckiego wynika z trzech przyczyn:

1) W miarę przechodzenia do głębszych poziomów pokłady rudy stają się obfitsze, grubieją.

2) Syderyt łęczycki posiada szczególnie cenną zaletę — odznacza się tzw. „wysokim współczynnikiem zasadowości". Ta cecha pozwala nader poważnie zredukować ilość drogich związków wapniowych, dodawanych do rudy przy wytopie.

3) Każda ruda żelaza wydobyta w kraju ma dla nas pierwszorzędne znaczenie, wobec zapotrzebowania hut, a szczególnie Nowej Huty, która obecnie pracuje głównie dzięki importowi drogich rud zagranicznych.

DROGA

Tutaj nie bardzo wiadomo, gdzie kończy się ulica, a zaczyna gościniec. Szczególnie trudno rozróżnić podobne rzeczy teraz, gdy na drogach ludzkich przemarszów strugi błota telepią.

Z rejonu, gdzie mieści się dyrekcja kopalni i sterczy szyb nad barakami przedsiębiorstw budowy, prowadzi droga do miasta. Przy drodze ciągną się długie wykopy — ludzie w gumowych butach powoli wbijają szpadle w mazistą, lepką glinę. Jest siwa mgła; szorują samochody, bryzgając mroźnymi strugami spod kół. Po przejściu samochodu, opada na drogę cisza — jakby była dużym ptakiem, spłoszonym na wysokiej gałęzi drzew przez jazgot warczącego pojazdu. Nagle, po lewej stronie zaczyna się ulica — domy są czerwone, toporne, wielgachne i brzydkie. Wraz z wybudowaniem domów droga dostała lekkich rumieńców: jest już swojską przez bliski fakt bezpiecznego zamieszkania ludzi. Dym nad kominami — bliski obiad. Tylko z prawej, jeszcze przez pewien czas ciągnie się pusta równina z kolegiatą tumską pod horyzontem.

Łęczyca, to jeszcze miasto nieprawdopodobnie polskie: takiej mnogości wierzb nie widziałem nigdzie — chyba tylko w Bieszczadach... I można znaleźć w Łęczycy bardzo dużą ciszę, a na wiosnę — wiele zieleni.

Nie w głowie mi kontynuacja sporu zaczętego niebacznie w knajpce „Pod sękiem". Gdybym wtedy dłużej się upierał, że w miarę rozwoju zagłębia Łęczyca przestanie być „dziurą deskami zabitą" — mogłoby dojść do boksu. Po przemyśleniu wiem, że z prowincjonalizmem niełatwa sprawa, a prowincja — to, oprócz sumy urazów inteligencji humanistycznej, również masa problemów socjologicznych, gospodarczych, czort wie jakich. Przecież Opole wojewódzkie — też prowincja. I Olsztyn, Kielce, Zielona Góra...

Chodzi mi jeno o rzecz bezsporną. Bo oto w Łęczycy słychać na pewno...

...BUTY MUZY KLIO

Zagłębie powstaje powoli. Trudno jest pojąć, dlaczego tak wielu ludzi sarkających w swoim czasie na antyracjonalny, antyekonomiczny pośpiech w realizacji szeregu inwestycji w kraju — dlaczego tak wielu ludzi sarka dziś na rozważny spokój w realizacji łęczyckiego zamierzenia. Zaiste, niełatwo dostrzeżony zostaje moment, gdy odwaga myślenia staje się manierą myślenia. Tylko że w efekcie kupa facetów zastanawia się jak myśleć: za czy przeciw — zamiast zwyczajnie myśleć.

Zagłębie rozwija się. Rozwija się jednak — o czym nie wszyscy wiedzą — zbyt powoli, w stosunku do założeń planu. A to już jest całkiem inna sprawa, wcale niepozytywna.

Obecnie wymagany koszt wydobycia tony rudy jest przekraczany kilkakrotnie. Fakt ten, w pierwszym okresie istnienia każdej kopalni, jest zjawiskiem obiektywnym, nieuniknionym i przemijającym — zaś czas, w którym ono zachodzi, nazywamy „okresem rozruchu". Niepokojący i groźny staje się dopiero fakt przedłużającego się „okresu rozruchu". Taka chmura gradowa wisi właśnie nad Łęczycą.

Wydajność pracy w kopalni łęczyckiej kształtuje się w granicach 0,3—0,5 wydajności w kopalniach śląskich. Proporcjonalnie do tych wskaźników kształtuje się, rzecz jasna, średni zarobek miesięczny załogi. Jakie są główne przyczyny tego stanu rzeczy?

Przyczyna pierwsza: brak fachowców - górników. Kopalnia musi, przynajmniej w początkowym okresie, bazować na kadrze robotników - wykwalifikowanych, przybywających z innych dzielnic kraju, głównie z Częstochowy i ze Śląska. Przybyszami są również technicy, inżynierowie i część administracji. Każdy robotnik napływowy, to nie tylko wydajny pracownik, lecz również nauczyciel zawodu dla 3—4 robotników miejscowych — a więc, „twórca" przyszłego, zwielokrotnionego trzonu załogi. Kopalnia musi tym ludziom zapewnić pracę i mieszkanie... I tutaj właśnie cała sprawa się gmatwa. Trzeba stwierdzić, że wszystko, co zostało w Łęczycy zbudowane — stanowi kroplę w morzu istotnych potrzeb zagłębia. Kopalnia i przedsiębiorstwa budowy otrzymały: 6 bloków (po 18 mieszkań), co stanowi 108 mieszkań, oraz hotel robotniczy i niewielkie baraki przy hotelu. Tymczasem, sama kopalnia musi posiadać „od zaraz" 230 wykwalifikowanych górników (nie licząc personelu inżynieryjnego), musi również powiększyć tę liczbę w krótkim czasie do 500. Bieżący „deficyt osobowy" kopalni zamyka się cyfrą ca 130 (!) Jedyną atrakcją, którą może ofiarować kopalnia w „okresie rozruchu" jest mieszkanie. To jest poważny problem dla władz — problem, który musi zostać jakoś rozwiązany.

Druga przyczyna „opóźnionego rozwoju" zagłębia może zostać poważnie złagodzona jedynie przez likwidację przyczyny pierwszej. Jest ona bowiem zbyt obiektywną przyczyną, aby mogła zostać „skasowana". Przyczyna owa nazywa się: historycznie uwarunkowany proces powstawania nowoczesnej klasy robotniczej z warstwy drobnych i średnich posiadaczy ziemskich. Aby być w zgodzie z socjologią, należy dodać, że proces ów jest z natury rzeczy powolny, a w naszym przypadku o tyle powolniejszy, że nie wyrasta z ostrego przymusu ekonomicznego, lecz z pokusy „dorobienia do roli". A taką pokusę stwarza istnienie kopalni. Powiat łęczycki ma bogatą ziemię ! w tym „zielonym zagłębiu" trudno przychodzi świadomość wszystkich korzyści płynących z kopalnictwa, bezpośrednich korzyści z trwałego związku człowieka i złóż o barwie syderytu.

W biurkach inżynierów leżą dokumenty, które mogłyby w dużym stopniu zainteresować socjologów. Dokumenty mówią o powolności procesu, czytelnej we wskaźnikach stałej absencji, odejść z pracy bez wypowiedzenia, we wskaźnikach wydajności. Są również inne dokumenty — cyfry mówiące o powrocie do kopalni, o pierwszych absolwentach podstawowej szkoły górniczej, o rosnącej stale grupie już „tutejszych" fachowców, górników na stałe związanych z kopalnią, dobrze zarabiających i traktujących — podobnie jak na Śląsku — kawałek ziemi jako cenny dodatek do zarobku w kopalni. Ta grupa, nieliczna, już poznaje sens słowa „dobrobyt" i nie ma w tym żadnego „pucu i bańki".

I dlatego, warto chyba spojrzeć na to „powolne zagłębie", żeby nie przegapić muzy Klio — Historii, która idzie znużona jak zwykle, uparta jak zwykle, nieodwracalna, w marszu... A że idzie w butach zabłoconych, nie siedmiomilowych — to dlatego, że idzie Klio prawdziwa.

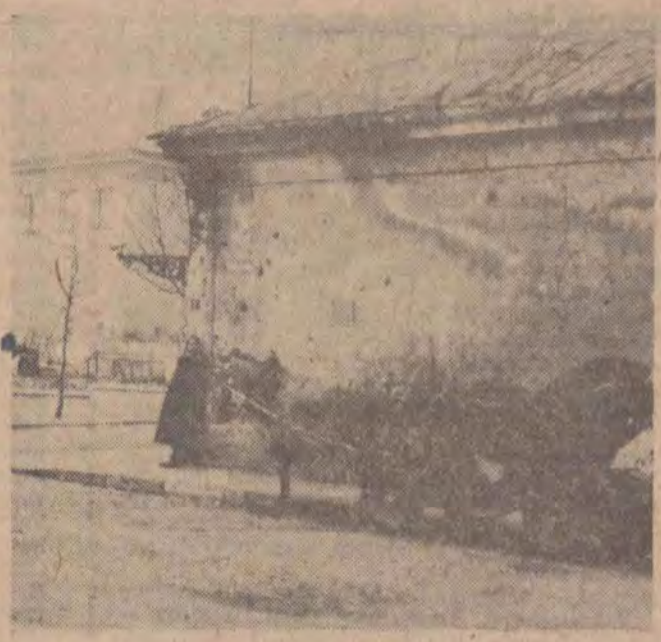

Anegdoty

Zguba

Sir Laurence Olivier odwiedza z małżonką Vivien Leigh olbrzymi dom towarowy w Nowym Jorku. W tłoku gubią się oboje. Małżonek rozgląda się uważnie na wszystkie strony w poszukiwaniu „zguby".

— Czym mogę służyć sir? — pyta uprzejmie pracownik domu.

— Żona zginęła.. — odpowiada zaaferowany artysta.

— O, współczuję. Artykuły pogrzebowe na 13 piętrze.

Arcyksiążę

Pewnego dnia Henryk Heine otrzymuje ogromną paczkę płodów jakiegoś wierszoroba z prośbą o wyrażenie swej opinii:

— Czuję się zawsze nobilitowany, jeżeli mnie strofuje mądry człowiek — pisze w zakończeniu listu.

Heine odsyła po kilku dniach cały plik wierszy z notatką: — Niech się pan czuje mianowany arcyksięciem.

Niemuzykalny

G. B. Shaw bawi na jednym z niezliczonych w jego życiu przyjęć. Pewna dama odczuła potrzebę wokalnego zaprezentowania się i pyta zajętego żywą rozmową dramaturga:

— Czy nie przeszkadza panu, jeżeli zaśpiewam?

— W żadnym wypadku — odpowiada Shaw. — Proszę na mnie nie zwracać uwagi. Jestem całkiem niemuzykalny.

MIESZANKA FILMOWA

CHAPLIN W SUTANNIE

Z Dublina dochodzą jeszcze wprawdzie nieoficjalne, ale już coraz głośniejsze wieści o nowym filmie Charlie Chaplina. Akcja scenariusza rozgrywa się na plebanii, w małej, odciętej od świata, mieścinie irlandzkiej. W tej zapadłej dziurze stał się pewnego razu cud. Służąca miała „cudowne" widzenie. A co z tego wynikło, zobaczymy na ekranie. Rolę księdza objąłby sam Chaplin, zmieniając swój tradycyjny jeszcze do niedawna strój tym razem na szaty duchowne.

ZNOWU SAGANKA

Parę tygodni temu wszedł na ekrany niezbyt podobno udany film Premingera „Witaj smutku", a już reżyser amerykański Jean Negulesco kończy ostatnie przygotowania do rozpoczęcia filmowej adaptacji innego bestselleru Saganki, czyli powieści „Pewien uśmiech".

„DZIEWCZYNKI DLA WOJSKA"

Były małżonek Brigitte Bardot, znany ze swych brutalnych i śmiałych reali-

zacji, reżyser francuski Roger Vadim, ma zamiar przenieść na ekran głośną na Zachodzie powieść Ugo Pirro „Dziewczynki dla wojska". Prasa francuska pisze, że film Vadima będzie „rewolucyjny, okrutnie realistyczny, a jednocześnie delikatnie subtelny". Natomiast prasa włoska uważa, że adaptacja filmowa tego typu utworów co książka Pirro jest najlepszym potwierdzeniem kryzysu tematów i kryzysu scenariuszy.

A propos GERVAISE

Był człowiek, który zajmował się filmem dokumentalnym, ściślej: był reżyserem i operatorem filmów dokumentalnych. Żył cicho i spokojnie, aż raz przyszła na niego podła chwila i przekroczył biedak granice dokumentu. Wszedł do filmu fabularnego. I od razu, za jednym zamachem... do historii filmu.

Piszę o tym dlatego, że jestem zdenerwowana. Z kim bym nie rozmawiała na temat „Gervaise" wszyscy zaczynają i kończą omówienie filmu na Marii Schell. A kiedy zapytam: — no, dobrze, dobrze, ale czyj to jest film — zapada żenująca cisza. A przecież Rene Clement nie jest nam obcy, więc choćby po znajomości wypadałoby zwrócić na niego uwagę.

No, bo proszę, chciejcie sobie przypomnieć jego filmy. Zadebiutował reportażem, fabularyzowanym dokumentem: „Bitwą o szyny" (1946). Pod pozornie chłodnym, obiektywnym tonem narracji widz odkrywał gorące uczucie, wciągany był bez reszty w atmosferę uczuciową filmu.

Potem przyszły nagrody. Na pierwszym Festiwalu w Cannes zdobywa Clement swoją „Bitwą" wielką nagrodę. I jakby mimochodem zagarnia jeszcze pochwały jury za dwa filmy, których był współtwórcą: „Piękna i bestia" — Cocteau, oraz „Spokojny ojczulek" Noel - Noela. Trzeba przyznać, że start był fenomenalny.

Następne filmy — i następne nagrody. W roku 1947 „Potępieńcy" uzyskują nagrodę za reżyserię. Pamiętacie tę historię o hitlerowskiej łodzi podwodnej, opowiadaną przez młodego lekarza? Duszna atmosfera — ludzie zamknięci w matni bez wyjścia, groza nieuniknionego niebezpieczeństwa.

1949 — „Mury Malapagi" — nagroda za reżyserię. Potem mała próbka dramatu kameralnego „Szklany Zamek" w 1950 r. Wspaniałe „Zakazane zabawy", nagroda za reżyserię za „Pana Ripois" w 1954 r. i wreszcie „Gervaise". Ten ostatni film wydaje się być świadectwem nawrotu do neorealistycznej tematyki pierwszych filmów Clementa.

W swojej drodze twórczej przeszedł już Clement bardzo wiele różnych odgałęzień. Co będzie dalej, jaką drogę uzna za własną, nie wiadomo. Podobno zabiera się do komedii.

A co do Marii Schell, to moi rozmówcy mieli rację. Przecież przy okazji „Gervaise" dostała ona nagrodę za najlepszą kreację aktorską.

EN.

Dla każdego coś miłego..

TEATRZYK KINOFIKCJI

Rok 1 NR VII

Przedstawia rzecz z cyklu „Kariery filmowe" (3)

Pierwsze kroki

Gdy ospa pognębiła Drezynę, a rozpoczęte obrazy czekały, wtedy przypomniano sobie o Klaudii. Klaudia ten dzień wymarzyła sobie w wyjątkowej skrytości ducha. Nie znaczy to, że życzyła ona źle Drezynie. Przenigdy! Uległa tylko magnetycznym właściwościom kina, czarowi, któremu się oprzeć niesposób.

Nim jednak nadszedł dzień, gdy Klaudia znalazła się vis a vis wypukłego oczka obiektywu — musiała ona przecierpieć okres przygotowawczy, który Drezyna dawno już miała za sobą. I tak Klaudia znalazła się w przestronnej sali, żeby wysłuchać pouczeń tłumnie zebranych branżystów.

— Przed postawieniem pierwszych kroków, Klaudio — musi pani pozbyć się każdego zbędnego grama tłuszczu. Kino wymaga od nas gibkości, a przesadna tusza stoi jej na przeszkodzie... Amant, który powiedział te słowa, poprawił potem swoją pozycję w foteliku, a ów zajęczał pod stu kilogramową wagą jego ciała.

— Nieprawda! — wysepleniła z boku staruszek, grający niegdyś w „Dziesięciorgu przykazań" Cecil De Milla — rolę tytułową. — Najważniejsza jest dykcja — kontynuował. Lada dzień kino nauczy się mówić. I co pani wtedy pocznie ze swoją wymową, Kludio?

— Sylwetka i dykcja? Owszem! Ale przede wszystkim — choreografia... Czy umie pani tańczyć kankana, Klaudio? Czy zna pani jego krok? Na przykład ten... I tu leciwa jejmość, jak się potem okazało — żona samego Raptulenkowa — pokazała Klaudii coś w rodzaju hiszpańskiego tanga.

Edukacja trwała nadal...

— Zastanówmy się, myślał tymczasem półgłosem inny członek ciała pedagogicznego, jakie walory przemawiają za Klaudią. Jest siostrą Drezyny i czeka na nią rynek zbytu. Zaspokoi wyraźne zapotrzebowanie mas. Klaudia jest potrzebna. Kubek w kubek przypomina Drezynę, posiada jej fizys, ale dopiero siedem razy dała znać o swoim istnieniu. Co za skromność. Zaiste! Klaudia jest skromniejsza od Drezyny o jej błędy. Nie jest nudna. Gdyby jeszcze jej twarz — na kształt i podobieństwo comicsu — pomalować kolorowymi kredkami? Wtedy by rynek oszalał, i tylko domagał się Klaudii!

... Z czasem zabiegi edukatorów dopięły tego, iż delikwentka wiedziała, że nic nie wie. Nawet przestała wierzyć, że kiedykolwiek się czegoś nauczy. Że będzie mogła zastąpić Drezynę i dośpiewać za nią w filmie Raptulenkowa dalszą część kupletu o Maszy:

„...jak w samowarze, kipi miłość nasza,

— ja mówię tak, a ona mówi nie..."

Ale adeptka — Klaudia, przedmiot pouczeń i cel ironicznych uwag, starała się jednakowoż sprostać wszelkim życzeniom. Przede wszystkim dlatego, że napoczęty obraz Raptulenkowa czekał... A mogła przecież Klaudia przypuszczać, iż zarówno sędziwa żona reżysera, jak i pokaźny Amant, a nawet zabytek z „Dziesięciorga przykazań" — wszyscy jak jeden mąż — marzą o dokończeniu kupletu Drezyny!

(d. c. n.)

Felieton dla widowni

SMUTNA „WALIZKA SNÓW"

Był czas, że filmu nie zaliczano w poczet sztuki. Dziś to przekonanie pokutuje jedynie w umysłowości kilku moich osobliwych znajomych. Bo film jest już od dawna „uznany" — dzięki czemu możemy zaobserwować liczne przejawy roztaczanej nad nim opieki. Historycy badają dzieje kina, a zabytkowe obrazy stały się przedmiotem muzealnych zabiegów. Filmowe powoływanie się na własną Muzę traktować zwykliśmy serio (niegdyś widziano w tym przechwałkę), a teoria kina urosła do rozmiarów wielce skomplikowanej nauki. Słowem: — nikt już nie neguje roli kina, nikt nie sprzecza się o obniżenie jego rangi. Dlatego można napisać o „Walizce snów", że jest to obraz, w którym starannie zrekonstruowano problem już dziś nieistniejący...

Przy okazji takiego potraktowania filmu Comenciniego, warto by jeszcze coś niecoś zauważyć. Na przykład to, iż w „Walizce snów" anegdotka jest banalniutka, dzięki czemu cały a niewątpliwy urok tego filmu mało ma z nią wspólnego. Stąd krok do istotnego problemu, który nie wiąże się z opisem nieszkodliwego maniactwa byłego aktora (Umberto Melnati). Albowiem jest to problem niejako pozafabularny.

Rzecz w tym, że „Walizka snów" to obraz wyjątkowy przede wszystkim dlatego, że roztacza przed nami świat dawnych filmów... Jest przecież w tych obrazach coś niepowtarzalnego, diabli wiedzą, może sens prawdziwego kina? Zaczynamy w to wierzyć, kiedy dochodzi nieomal do absurdu. Oto film bez wątpienia współczesny, a jest nim przecież — było nie było — poczciwa „Walizka snów" — zaczyna nużyć... Ileż to razy, zaskoczeni, łapiemy się na tym, że oglądając film Comenciniego, bezwiednie czekamy, aż zaterkocze aparat życzliwego maniaka? Nawet, gdy na ekranie nie ukaże się Francesca Pertini, Lida Borelli, Maciste, Eleonora Duse — tylko anonimowe nogi, odgrywające przeuroczą etiudę, której zapomnieć nie sposób.

Czy to przypadek, że panuje obecnie moda wykorzystywania (na przykład w grafice) secesyjnego ornamentu? Że nowoczesna fotografia amerykańska zaczyna lansować grupowe portrety rodzinne, ustawiane na tle mieszczańskich drobiazgów i wzorzystej tapety, przywodzące na myśl osiągnięcia mistrzów kamery z pierwszych lat naszego stulecia...

To nie przypadek. To prawidłowość, albo — jak kto woli — reakcja na nową konwencję, która narodziła się w międzyczasie i obowiązuje. Czyli przekora i odpowiedź. A może także i kpina z tej nowoczesności, która sama jest już tradycją?

Tak samo w filmie. Obserwujemy przecież, jak kino poszerza swoje ekrany, jak żongluje kolorem. Ileż razy czyni to bez większego sensu, bez wyraźnej potrzeby? Przypuszczamy, że niedługo kino nauczy się podrabiać zapachy, na przykład kwiatów, gdy będzie pokazywać je na ekranie. Może specjalne wentylatory będą dmuchały na widownię, tworząc złudzenie wiatru? Pomysłowość ludzka bywa bezmierna. Głupota także...

...Wtedy nie będzie już mowy o przekształceniu rzeczywistości, tej autentycznej przestrzeni, w myśl reguł i założeń miłej nam konwencji opowiadania. Skończy się to, co zwykliśmy nazywać kinem. Zacznie się za to naśladownictwo rzeczywistości, albo jej przedrzeźnianie. Mamy już pierwsze sygnały tego niebezpieczeństwa. Dostrzegamy, że kino wytwarza własny snobizm naśladowczy, że bawi się swoimi możliwościami, że nimi operuje. Dlatego, bo nie tylko na zasadzie przekory, pojawa się tęsknota za prymitywem nieporadnych, niemych filmików. Naiwna „Walizka snów", deklaratywna i pozbawiona zresztą większych pretensji — nie wzrusza nas swoją fabułą. Moment wzruszenia zawiązuje się wtedy, gdy film Comenciniego przekształca się w analogię dawnych obrazów, które nas nie tylko kokietują, ale i zmuszają do namysłu.

EDWARD ETLER

Wyjątkowo krótki scenariusz filmu naukowo-fantastycznego

Pewien profesor uniwersytetu ożenił się ze studentką, młodszą o trzydzieści lat, która go nigdy nie zdradziła...

A. J. WIECZORKOWSKI